



NR 3

WIOSNA
2018





Alleluja!

Radosnych Świąt
Wielkiej Nocy
pełnych wzajemnej
życzliwości
i miłości.
Oraz
wyjątkowo
mokrego
dyngusa życzy
zespół redakcyjny
EKOgadki i Zarząd

KOM-EKO 

Szanowni Czytelnicy!

Mamy przyjemność sprezentować Państwu trzeci numer EKOgadki. Tym razem wiosenny, stąd w naszym kwartalniku artykuły utrzymane w klimacie tej szczególnej pory roku. Każdy z nas odczuwa ją inaczej. Jedni lirycznie, inni nostalgicznie, jeszcze inni aktywnie i z humorem. Taki też, zróżnicowany, jest najnowszy numer EKOgadki. Wciąż poszerzamy grono naszych autorów. Wraz z nimi sięgamy nowych tematów. Tym razem coś interesującego znajdą tu dla siebie przyjaciele zwierząt, zainteresowani historią Lublina, ale i... miłośnicy komiksów. Niezmiennie zapraszamy do podzielenia się swoimi zainteresowaniami i pasjami, tym samym do aktywnego współtworzenia naszego pisma.

Zarząd Kom-Eko S.A.

Wiosenni
przybysze
str. 24



POLECAMY:

WSPOMNIENIE	14
WYWIAD	30
FELIETON	48
ANEGDOTY	67



Kalendarium Kom-Eko

Minione tygodnie to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej, choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

grudzień 2017

Zakup na potrzeby Zakładu Wywozu Odpadów śmieciarki Volvo FM 330 z urządzeniem HDS.

styczeń 2018

Zakup na potrzeby Zakładu Zagospodarowania Odpadów rozdrabniacza przeznaczonego do przetwarzania odpadów wielkogabarytowych Lindner Urraco U75D-Powerline oraz samochodu Volvo FH z urządzeniem hakowym.

14 stycznia 2018

Wspieramy organizację 26 Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Lublinie.

styczeń – luty 2018

Montaż na terenie Zakładu Zagospodarowania Odpadów mobilnej linii do sortowania odpadów budowlanych i rozbiórkowych.

2 - 13 luty 2018

Wspieramy finansowo wyjazd wychowanków domów dziecka na Międzykontynentalne Spotkanie Młodych w Taizé, organizowany przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży w Lublinie.

5 – 17 luty 2018

Zabezpieczamy utrzymanie czystości na planie zdjęciowym realizowanego na lubelskim Starym Mieście serialu „Drogi Wolności”.

9 - 12 marca 2018

Zakończenie przez Zakład Oczyszczania i Zakład Robót Drogowych kolejnego sezonu zimowego oczyszczania ulic, chodników i placów. Czas rozpocząć akcję „oczyszczania pozimowego”. Wiosna już w progu!

FOTO: Redakcja



Sposób na gabaryty

ADAM PRZYSTUPA

Rosnąca ilość odpadów wielkogabarytowych w strumieniu odpadów komunalnych stanowi wyzwanie dla odbierających odpady i prowadzących ich przetwarzanie. Ich właściwości fizyko-chemiczne skłaniają by upowszechniać ich gospodarcze wykorzystanie, jako surowca do produkcji paliw alternatywnych wykorzystywanych w przemyśle cementowym i energetyce. By było to możliwe konieczne jest ich wstępne rozdrobnienie.

KOM-EKO S.A. korzystając dotychczas z usług podwykonawców zewnętrznych zakupiło w styczniu 2018 roku urządzenie Lindner URRACO 75. To niezwykle skuteczny, mobilny, wolnoobrotowy rozdrabniacz przeznaczony do odpadów wielkogabarytowych, drewna i biomasy. Urządzenie wyposażone jest w separator elektromagnetyczny umożliwiający odzyskanie metali żelaznych.

Nowy zakup pozwoli nam wykorzystać naszą wiedzę i doświadczenie. Od 2006 roku użytkujemy urządzenia firmy Lindner Recyklingtech lidera w technologii rozdrabniania odpadów. Od 2006 roku rozdrabniamy odpady i produkujemy paliwo alternatywne (RDF) spalane w instalacji Cemex Polska.



„Pozimowe” to jak topienie marzanny...

Nim pierwsza zieleń rzuci się na trawniki, ustępująca przed słońcem lodowo-śnieżna gruda zwykła odsłaniać szary, mocno przykurzony krajobraz. Drogi, po których codziennie przemierzamy się z domu do pracy, z pracy do domu. Trakty, po których codziennie stąpamy. O tym jak wygląda praca ludzi oczyszczających nasze ulice i chodniki rozmawiamy z Dominikiem Śledziem – Kierownikiem Zakładu Oczyszczania KOM-EKO S.A.

Wiosna za progiem, więc pewnie niedługo ruszycie na tzw. sprzątanie pozimowe?

Sprzątanie pozimowe polega na usunięciu tego, co przez zimę nazbierało się na ulicach, placach i chodnikach. Przychodzi taki czas, że trzeba posprzątać materiał uszorstniający, który został tam wysypany. Gdy nadchodzi wiosna, gdy warunki pogodowe i prognozy wskazują, iż nie należy spodziewać się powrotu zimy – z reguły jest to połowa marca, początek kwietnia – przystępujemy, po uzgodnieniu z organami gminy, do pracy. To jak tradycja topienie marzanny.

Jak to wygląda w liczbach?

W ramach umowy z Wydziałem Gospodarki Komunalnej Urzędu Miasta Lublin mamy do posprzątania 87 000 m², dodatkowo na trzech rejonach oczyszczania ręcznego jest to około 300 000 m² i 900 000 m² oczyszczania mechanicznego. Dodatkową pracą jest sprzątanie po sezonie zimowym Ogrodu Saskiego. Tam powierzchnia alejek wykonana jest z kruszyw granitowych, trzeba wykonać jej pielęgnację – kruszywo zruszyć, odświeżyć, zagrabić, zawałować.

Jak wygląda praca przy pozimowym oczyszczaniu ulic?

Podstawowym narzędziem pracy na ulicach są zmiatarki typu broodway, które charakteryzują się dużą wydajnością i umożliwiają zmiatanie w bardzo ciężkich warunkach, przy dużej ilości piachu, który zalega po zimie. Maszyna jest holowana przez samochód ciężarowy



FOTO: Redakcja

i podczas zmiatania wypełnia jego skrzynię tym, co zbierze z ulicy. Co istotne, zmiatarka nie kurzy, bo posiada system zraszający. Tempo jazdy takiego zestawu to zaledwie 3-5 km/h, co niekiedy może dziwić innych kierowców. Wtedy pracuje efektywnie. Dodatkową pracą jest oczyszczanie krawężników i opasek krawężnikowych. Ręcznie oczyszcza się je z chwastów, odkrywa z piachu i ziemi. Natomiast przy pomocy specjalnego urządzenia wykonuje się tzw. odcięcie krawężnika od terenów zielonych. Dzięki temu trawa nie wrasta w krawężniki i sprawniej je można oczyszczać w sezonie letnim. Kiedyś tę pracę wykonywano ręcznie, przy użyciu zwykłych szpadli, dziś pomagają nam w tym dwie maszyny.

Ze względów bezpieczeństwa pracujecie w nocy...

W nocy pracujemy na najbardziej ruchliwych ulicach. Nocą też jest wykonywane mechaniczne „odcinanie” krawężników. Na ulicach gdzie natężenie ruchu jest mniejsze pracujemy także w dzień. Tam możemy wygrodzić teren, zając jeden pas ruchu dla zabezpieczenia pracowników i spokojnie prowadzić prace.

To nie pierwsze sprzątanie pozimowe, które was czeka...

To prawda, natomiast każdy rok jest inny. W zależności od warunków pogodowych, czy nałożonych priorytetów co do kolejności prac, zmieniamy plan działania. Nie ma raz przyjętych, niezmiennych schematów.

Jak długo trwa oczyszczanie pozimowe?

Na wykonanie prac mamy zgodnie z umową 30 dni. Tereny w centrum miasta, tj. Plac Litewski, Ogród Saski, „deptak” są oczyszczane codziennie już wcześniej, od momentu ustąpienia warunków zimowych. W tych miejscach oczyszczanie pozimowe de facto nie występuje w trybie zleconym.

Jak wiele osób jest przy tym zaangażowanych?

Działamy na dwa zakłady. Razem około 40 osób. W Zakładzie Oczyszczania wspomagają ich dwie małe zmiatarki chodnikowe, dwie duże zmiatarki uliczne, trzy samochody skrzyniowe o ładowności do 3,5 tony oraz jeden większy samochód do wywozu odpadów ze sprzątania. Dodatkowo Zakład Drogowy wystawia dwa ciągniki wyposażone w szczotki do zmiatania, trzy duże samochody skrzyniowe, oraz koparko-ładowarkę i mini-ładowarkę bobcat do załadunku odpadów.

Oczyszczanie pozimowe to tylko część pracy Zakładu Oczyszczania...

W momencie, gdy uprzątniemy jakąś ulicę z zimowych pozostałości, praktycznie z automatu przystępujemy do oczyszczania letniego według stałego harmonogramu. Kolejność i częstotliwość prac jest zróżnicowana. Stare Miasto, Plac Litewski czy „deptak” oczyszczamy codziennie, inne miejsca oczyszczamy dwa razy w tygodniu, są też ulice oczyszczane co dwa, co trzy tygodnie. Sprzątamy siedem dni w tygodniu. Oczyszczanie mechaniczne z reguły wykonujemy w nocy tak, aby ograniczyć uciążliwość dla mieszkańców. Prace na placach, skwerach, chodnikach wykonujemy wczesną porą ranną. Oczyszczanie obszaru Starego Miasta wykonywane jest z opcją patrolowania, czyli, na dwie zmiany jest pracownik, który na bieżąco sprawdza czystość rejonu i reaguje. Ponadto opróżniamy ponad 2 500 koszy z odpadami przy użyciu czterech samochodów.

Stare Miasto to także powóz konny...

Tak, to pomysł, który spotyka się z zainteresowaniem, zwłaszcza turystów. Pojazd konny pracuje na Starym Mieście od kwietnia do listo-

pada. W okresie zimowym nasz konik ma dłuższy urlop. W sezonie pracuje praktycznie siedem dni w tygodniu, w godzinach od 9 do 12, oczywiście kiedy temperatury są znośne. Jeżeli jest mróz czy skwar, koń nie wyjeżdża na miasto.

Oprócz tego, że jak słyszymy czasami fundujesz swoim pracownikom życie noce, bywa że fundujesz im zetknięcie z żywą kulturą...

Rzeczywiście, angażujemy się w obsługę imprez masowych. W 2017 roku obsługiwaliśmy cztery duże imprezy w centrum Lublina: „Noc kultury”, „Jarmark Jagielloński”, „Carnaval Sztukmistrzów” i festiwal „Inne brzmienia” oraz „Europejską Konwencję Żonglerską”, którą zorganizowano w Parku Ludowym. Przygotowania do takich dużych imprez zajmują z około dwóch, trzech tygodni. To ustalanie zakresu prac, sprzątania w trakcie imprezy, sprzątania po niej, ilości i miejsca rozstawienia pojemników, ilości osób patrolujących. Jesteśmy obecni podczas trwania danego wydarzenia. Na terenie Starego Miasta i na „deptaku” na bieżąco operują dwie brygady pracowników opróżniając stale napełniające się pojemniki. Nie jest to łatwe, ze względu na bardzo dużą ilość uczestników tych imprez. To prawdziwe morze ludzi.

Impreza się kończy, ludzie rozchodzą się do domów a wy...

Tak, przychodzi czas, gdy po imprezie trzeba posprzątać. Zaczynamy zaraz po zakończeniu imprezy, choć zdarza się, że niektórzy z jej uczestników jeszcze się dobrze bawią. Rano cały teren musi być już kompleksowo posprzątanym. I tak jest. Mamy wspaniałych, doświadczonych pracowników.



EKOPORADY ADAM PRYZSTUPA

Zagrajmy w kolory

Nie daj się zaskoczyć, gdy przed Twoim domem w Lublinie ujrzysz rząd kolorowych pojemników...

Jeszcze chwila i wiosna wybuchnie feerią barw wszelakich. Ostatnie miesiące długo karmiły oczy odcieniami szarości, tylko przez chwilę dla odmiany biel ofiarując. Jeszcze chwila i głodni kolorów będziemy je smakować. A każdy z nich inny, a każdy z nich coś oznacza.

W malarstwie biel to symbol niewinności, błękit to mądrość, żółty bywał kolorem zdrady a purpura przypisana była władcom. Niektórzy z nas przykładają wagę do kolorystyki darowanych kwiatów. Czerwone róże miałyby symbolizować miłość, żółte – przyjaźń, różowe – zachwyt, białe zwykle ofiarowane z okazji zaślubin – niewinność, herbaciane – wdzięczność, zaś te bliskie fioleto i lawendy – ostrożność i dyskrecję. A może, a może zupełnie co innego, bo oprócz znaczenia czerwieni i bieli, zdania co do innych barw różanego kwiecia bywają podzielone. Poza wszystkim przykładając do tego zbyt wielką wagę, mocno przeceniamy erudycję kupujących. Oni zaś kwiaty ofiarują po prostu... z serca.

Tymczasem powoli, niezależnie od wieku, przychodzi nam uczyć się nowego kodu kolorów. Jest jeszcze chwila, by z pierwszym dniem lipca nie dać się zaskoczyć, gdy przed naszymi domami w Lublinie ujrzymy rząd kolorowych pojemników. Powoli mierzymy się więc z pamięcią powtarzając:

- kolor niebieski – papier,
- kolor zielony – szkło,
- kolor żółty – tworzywa sztuczne, metale, opakowania wielomateriałowe



- kolor brązowy – odpady biodegradowalne, kuchenne.

Obok tych pojemników stanie oczywiście dodatkowy pojemnik na odpady zmieszane. Zniknie natomiast pojemnik na frakcję suchą. Ten w białym kolorze, a więc oznaczający niewinność i czyste intencje, które - zgódźmy się co do tego - towarzyszyły nam, gdy w 2004 zaczynaliśmy w grodzie nad Bystrzycą segregować odpady. Minęło już wszakże piętnaście lat i mądrzejsze od nas głowy zdają się nam mówić „śmiało, zróbmy coś więcej”.

Damy radę, jak mawiał Bob Budowniczy. Cała rzecz w tym by nie pomylić kolorów. Tak więc, jeszcze raz, powoli:

- niebieski oznaczający raz to wiedzę przelaną na papier, innym zaś razem wodę, jaką często zwykli łać piszący;
- zieleń niosąca relaks, uspokojenie i nadzieję. Cóż, czas relaksu służyć będzie zapełnianiu tego pojemnika...;
- brąz, kolor ziemi, barwa użyteczności, która przyciągać ma odpady, które po przetworzeniu posilić mają glebę lub wykrzesać z siebie energię;
- żółć – jako symbol... niewierności? Nie, chyba raczej odstępstwa od zasady selektywnego zbierania frakcji, bo mieszać tu będziemy tworzywa, metale i opakowania wielomateriałowe. Będzie to w istocie, taka... zubożona frakcja sucha...

Powodzenia!

Ilustracja: Ministerstwo Ochrony Środowiska



Otwórzmy serca, razem możemy pomóc Maksowi!

Zwracamy się z prośbą o wsparcie dla wnuczka naszego kolegi, pracownika KOM-EKO.

Początek każdego roku to czas, kiedy mamy okazję uczynić wiele dobra,

ofiarując 1% naszego podatku.



Maksymilian ma 9 lat i od urodzenia zmaga się z mózgowym porażeniem dziecięcym, padaczką i zanikiem nerwów wzrokowych. Dzięki systematycznej rehabilitacji, wyjazdom na turnusy, pracy z pedagogami i logopedami Maks jest uczniem pierwszej klasy szkoły podstawowej. Z niewielką pomocą potrafi sam siedzieć, coraz lepiej się porozumiewa.

Nasze wsparcie przyczyni się do kontynuacji leczenia i rehabilitacji Maksymiliana, wspomże zakup niezbędnego sprzętu rehabilitacyjnego i leków, pomoże pokryć koszty codziennych zajęć z rehabilitantami i wizyt u specjalistów.

Dziękujemy za szlachetny dar Waszych serc!

Jeśli chcesz mnie wesprzeć swoim 1% podatku:

W swoim zeznaniu podatkowym wpisz: KRS 0000037904, a w rubryce „Cel szczegółowy 1%” : 9216 Kołodziej Maksymilian. Prosimy o zaznaczenie w formularzu PIT rubryki: wrażam zgodę.

Jeśli chcesz mnie wesprzeć darowizną przekaż ją na konto:

**Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”
ul. Łomiańska 5,
01 -685 Warszawa
Alior Bank S.A.42 2490 0005
0000 4600 7549 3994
Tytułem:
9216 Kołodziej Maksymilian
– darowizna na pomoc i ochronę zdrowia**

EKOTEMATY DR ADAM LESIUK

Życie po z(u)życiu ... UPCYKLING w pigułce

Życie produktu będzie coraz dłuższe.

Konsumpcyjny styl życia, który dominuje w dzisiejszym świecie powoli zaczyna przechodzić do lamusa. W najbliższym czasie gospodarka obiegu zamkniętego (tzw. circular economy) promowana w Unii Europejskiej będzie powoli zmieniała świat produkcji dóbr.

Mam nadzieję, że tzw. życie produktu będzie coraz dłuższe, a do strumienia odpadów będą trafiały rzeczy naprawdę już zużyte. Może zacząć od tego z czym często spotykamy się w naszym życiu, czyli sytuacjach, w których musimy „żegnać się” ze starymi wełnianymi swetrami, naznaczonymi piętnem wypraw czy innymi rzeczami z którymi się zżyliśmy, ale przyszedł już nieubłagany ich czas.

Kierowcy znają też to uczucie, kiedy rodzina daje do zrozumienia, że trzeba pożegnać się ze starym samochodem, sprawnym i sprawdzonym w codziennych drogowych bojach, ale już nie tak nowoczesnym.

Czasu jednak nikt i nic nie zatrzyma, wiele rzeczy trafi do strumienia odpadów, ale jest jeszcze inny sposób na zatrzymanie dobrych wrażeń i wspomnień – UPCYKLING czyli odpadowe „życie po życiu”.

W naszej świadomości ekologicznej bardziej znanym słowem jest recykling, który jest

kluczem do zwiększenia odzysku materiałowego i szansą na ocalenie zasobów pierwotnych surowców i energii. Czym jest zatem upcykling ??

Prawie 20 lat temu (w 1999 roku) po raz pierwszy sformułował je Riemann Verlag i oznacza sposób przetworzenia odpadu w produkt o wyższej wartości. Jest to przeciwieństwo zwykłego recyklingu, które nie przywiązuje wagi do wartości nowego produktu, a tylko do zawrócenia materiału jako surowiec w cyklu produkcyjnym. Przewagą upcyklingu nad recyklingiem jest brak zaawansowanych metod produkcji, a dzięki zastosowaniu ręcznej pracy bardzo niskie zużycie energii. Upcykling znany jest jednak od wielu lat zwłaszcza w państwach i gospodarkach tzw. wiecznego niedoboru oraz dużej biedy (Kuba, Indie czy kraje Afryki).

Upcykling jest też przeciwieństwem downcyklingu, czyli tworzeniu produktów mniej cennych od wykorzystanych surowców. To czy niepotrzebne już nikomu przedmioty pozostaną w sferze obrotu materialnego poprzez zmianę ich funkcji i formy zależy przede wszystkim od wyobraźni, kreatywności i inspiracji osoby – artysty.

Co można zrobić z odpadów ??

Okazuje się, że bardzo dużo, począwszy od dodatków do garderoby, ubrań, mebli, a skończywszy na dziełach artystycznych. Paleta drewniana

Meble tarasowe z palet. FOTO: Leszek Bielawski



może zamienić się w narożnik wypoczynkowy (jak na zdjęciu), stara żeliwna konstrukcja maszyny do szycia w podstawkę pod umywalkę, płyty winylowe w designerskie okulary.

Coraz bardziej popularne są warsztaty upcyklingu, które nie tylko rozwijają wyobraźnię uczestników, ale także przypominają o tym najważniejszym czyli redukowaniu odpadów w naszym życiu. Taka zabawa adresowana do dzieci może mieć lepsze efekty edukacyjne niż niejedna zbiórka odpadów.

Czy można zarobić na upcyklingu ?

Znamy to powiedzenie, że przedmiot jest tyle warty ile jesteśmy w stanie za niego zapłacić. I ta sama zasada stosuje się do upcyklingu. Na stronach internetowych jest duża oferta różnych przedmiotów, które kosztują często od kilkuset do kilku tysięcy złotych. Powstaje coraz więcej firm zajmujących się profesjonalnie upcyklaniem. Przykładem jest firma TerraCycle z USA, unikalna na skale światową bo wszystkie jej produkty pochodzą z upcyklingu odpadów. Obecnie wytwarzanych jest około 200 produktów m.in. ołówki z zużytej gazety, segregatory z opakowań po ciastkach, plecak z folii po napojach czy zegar z płyt winylowych. Hitem na skale upcyklingu (10 tysięcy sztuk) stała się torba na laptop zrobiona z zużytego tworzywa z billboardu oraz pasa bezpieczeństwa z samochodu. Oryginalnym produktem był też latawiec z opakowań po ciastkach Oreo. W ten nurt produkcji przedmiotów

upcyklingowych dobrze wpisała się polska firma REC.ON z Warszawy. Materiałem wyjściowym do produkcji wielu rzeczy są części samochodowe oraz drewno z odzysku. Każdy z wyprodukowanych przedmiotów otrzymuje jednostkowy numer seryjny ponieważ każdy model jest wykonywany ręcznie i nie ma dwóch takich samych. W ofercie firmy są niepowtarzalne lampy wiszące czy stojące, stoły, krzesła, które świetnie pasują do industrialnych czy minimalistycznych wnętrz.

Tak więc obecna gospodarka odpadami to nie tylko redukcja, ponownie używaj czy zwracaj do cyklu produkcyjnego - popularne 3R, ale także upcykling.

Czy upcykling będzie skutecznym rozwiązaniem na stale wzrastającą ilość odpadów w świecie?

Raczej nie, ale na pewno będzie spełnieniem zainteresowań wielu ekoartystów, którzy chcą dołożyć swoją artystyczną cegiełkę do ratowania świata przed odpadami. Upcykling stał się modny, i tak naprawdę upcyklaniem może zajmować się każdy z nas. Efekty potrafią być zaskakujące, a powstałe przedmioty oprócz walorów artystycznych mogą okazać się bardzo użyteczne. A może ... za 20 lat to będzie nowy poziom do osiągnięcia przez gminy?

Na małej pisance cały świat

O pisankach i związanych z nimi tradycjach wielkanocnych rozmawiamy z panią Katarzyną Kraczoń ze Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie.



Skąd się wzięły pisanki?

Jest wiele przekazów i legend mówiących o tym, że świat powstał z jajka. W wielu kulturach istnieją mity, które mówią o tym, że świat powstał z jajka. Tak naprawdę trudno jest odpowiedzieć na pytanie, skąd się wzięły pisanki. Jest to zwyczaj bardzo dawny. Najstarsze pisanki powstawały ponad 5000 lat temu. Malowali je starożytni Egipcjanie, a także Chińczycy i Persowie. W Polsce tradycja dekorowania jaj ma ponad tysiącletnią tradycję. Wskazówką mogą być legendy apokryficzne, które łączą początek malowania pisanek z Życiem Chrystusa. Jedna z takich legend mówi o tym, że Matka Boska udała się do Piłata z koszem pełnym jajek, po to aby uwolnił Jezusa. Tak się nie stało. Matka Boska zaczęła płakać, łzy spadając na jajka zamieniły się w niebieskie kropki i w ten sposób powstały pisanki. Jest też inna legenda, która mówi o tym, że pewien handlarz szedł na targ sprzedawać jajka. Po drodze spotkał Pana Jezusa, który dźwigał swój krzyż. Chciał pomóc nieść krzyż Jezusowi, zostawił te jajka, pomógł, a kiedy wrócił zastał jajka wzorzyście pomalowane. Takich legend, jest bardzo dużo. Dokumentował je chociażby Oskar Kolberg. Są to legendy wciąż powtarzane i uzupełniane.

A skąd słowo „pisanka”?

Słowo „pisanka” ma związek z czynnością pisania. I tak naprawdę ta nazwa powinna być zarezerwowana dla tych pisanek, które pisze się woskiem. Tymczasem sposobów wykonywania pisanek jest bardzo dużo. Mamy technikę oklejania, malowania, a także technikę rytowniczą,

polegającą na tym, że wzór wydrapuje się za pomocą ostrego narzędzia. To nie są pisanki jako takie, natomiast przyjęło się, że wszystkie dekorowane jaja wielkanocne nazywa się po prostu pisankami.

Wróćmy w takim razie do pisanek batikowych...

Technika pisania woskiem jest najstarszą z technik. Świadczy o tym fakt, że najstarsza polska pisanka z X wieku, znaleziona pod Opolem, też została wykonana techniką batikową. Według mnie, to najciekawsza technika, a przy tym najbardziej naturalna, bo wykorzystująca tylko i wyłącznie naturalne materiały czyli jajko i wosk pszczeli. W wykonywaniu pisanek najciekawsze jest to, że każda z twórczyń sama sobie wytwarza narzędzia, za pomocą których dekoruje jajka, sama pozyskuje materiał. Przez to ta pisanka jest taka naturalna. Współczesne pisanki, do wykonania których można kupić gotowe naklejki z motywami wielkanocnymi, są – przynajmniej dla mnie – czymś bardzo wtórnym. Dlatego zachęcam, aby sięgać po te tradycyjne techniki dekorowania jajek i przede wszystkim, by robić to samodzielnie. Tak, aby tradycja była żywa. Dawniej na wsi przygotowywaniem pisanek zajmowały się gospodynie. Wokół siebie gromadziły swoje dzieci, wnuki. Była to więc czynność o charakterze wspólnotowym, rodzinnym. Poza

tym ma się dużą satysfakcję, jeśli taką pisankę stworzy się samemu, potem się ją poświęci i położy na stole wielkanocnym.

Wzory na pisankach różnią się w zależności od regionu...

Każda z technik przygotowania pisanek ma swoje odmiany regionalne. Dla Lubelszczyzny typową jest technika batikowa. Te nasze tradycyjne pisanki są bardzo dalekie od współczesnych. Stosowane wzory są archetypowe: krzyż, słońce, spirala, swastyka. To wzory, które mają bardzo wiele znaczeń i nawiązują do symboli pierwotnych, będących ekwiwalentem całego świata. Takim wzorem jest np. drzewo życia. Stanisław Dąbrowski, autor monografii o pisankach lubelskich, która ukazała się w 1936 roku, bardzo ładnie napisał, że pisanka to miniaturowe dzieło sztuki – na małej pisance cały świat. Twórczyńnie starały się za pomocą tych drobnych, prostych na pozór symboli ten świat przedstawić. Stąd symbole związane ze słońcem, z księżycem, zwierzętami i roślinami. To całe bogactwo znaków, które coraz trudniej odnaleźć na współczesnych pisankach.

Jakie są zwyczaje związane z pisankami?

Jest ich bardzo dużo. Niestety, współcześnie te zwyczaje powoli zanikają. Poświęcona pisanka stawała się apotropeionem, który miał chronić człowieka, dom, gospodarstwo, zwierzęta, pola. Stąd na przykład pisanki przechowywano w domu za oknem, albo za świętym obrazem, co miało strzec domostwo, chociażby przed burzą. Kiedy pierwszy raz wiosną wypędzano bydło, to taką poświęconą pisankę taczano wokół zwierząt, żeby ochronić je przed chorobą. Gospodarz przed pierwszą orką wkładał poświęconą pisankę



FOTO: Pani Halina Witkowska z Puszczy Białej tworzy kurpiowską pisankę - 2018 rok.

w skibę ziemi, by zapewnić sobie obfite zbiory.

A dziś jaka jest funkcja pisanki?

Generalnie estetyczna. To co pozostało, to zwyczaj święcenia pisanek, które później trafiają na stół i zwyczaj dzielenia się jajkiem. Trzeba jednak przyznać, że niektóre elementy starych zwyczajów w formie szczątkowej przetrwały do dziś. Moja mama na przykład stara się nie wyrzucać skorupki z poświęconych pisanek, tylko daje się je kurom. Bardzo ważną funkcją pisanki jest funkcja daru i to również przetrwało. Dawniej ten zwyczaj przypisany był pannom i kawalerom. Było to powiązane z zalotami. Panna, która chciała wyrazić swoje uczucia przygotowywała pisanki dla swojego kawalera. To był też znak, że jest nim zainteresowana. Na Śląsku na przykład do dziś na kroszonkach wydrapywane są krótkie wierszyki o charakterze miłosnym „cały rok na Ciebie czekałam i to jajuszko Ci malowałam”.

Kroszonki, a nie kraszanki?

Jajko zamalowane na jeden kolor nazywane jest kraszanką, albo byczkiem. Natomiast kroszonkami nazywane są na Śląsku jajka wykonane techniką rytowniczą.

Pisanki to nie tylko wiele wzorów, ale i kolory...

Do barwienia używano barwników naturalnych. Gospodynie przygotowywały je zazwyczaj z roślin. Najczęściej był to kolor czarny uzyskiwany z kwiatu bzu lub opiłków żelaza czy kory drzew, kolor zielony z młodych pędów zbóż, czerwony z soku buraka. Są przekazy, które mówią, że kolor pisanki też miał swoje znaczenie. Kolor czarny, fioletowy i niebieski oznaczał żalobę. Często panny przez barwę pisanki przekazywały uczucia. Czerwień symbolizowała miłość. Z przekazów, wiem, że pisanka w kolorze żółtym oznaczała odrzucenie zalotów kawalera. Trzeba się więc pilnować, by dostawać tylko czerwone pisanki...



Waldemar Staga



FOTO: Redakcja

W grudniu 2017 roku niespodziewanie dla wszystkich choroba zabrała spośród nas pana Waldemara Stagę. Pan Waldemar, pan Waldek. Ciepło i z szacunkiem, nie słyszałem by ktoś mówił o nim inaczej. Od 2002 roku prowadząc firmę transportowo-budowlaną współpracował z KOM-EKO służąc radą i pomocą. Wspominamy pana Waldemara na łamach EKOgadki w rozmowie z jego córką Dagmarą.

Pani Dagmaro, śni się tato?

Śni się, cały czas się śni. Teraz zwłaszcza często się śni, że jest w firmie, że coś się dzieje i on na mnie krzyczy, że coś jest nie tak, albo gdzieś wychodzi, po coś jedzie... I ten sen się nagle urywa. Ale śni się też tak wspomnieniowo..., że jesteśmy na grzybach. Tata specjalnie kupił poloneza, żeby jeździć nim tylko i wyłącznie na grzyby, i zawsze jesienią polonezem jeździliśmy na grzyby. Więc śnią mi się takie momenty gdzieś w lesie, na dworze, na podwórku, w domu. Śni się cały czas...

Tata pochodził z Lubartowa?

Tata urodził się w takiej małej wsi pod Lubartowem – Antonin Nowy. Potem przeprowadzili się razem z mamą do Lubartowa, tu wybudowali dom i w tym domu mieszkamy do tej pory. To było już przeszło czterdzieści lat temu.

Jak rozmawiałem z Panią tatą, zawsze miałem takie wrażenie, że jego strony to nie jest tylko Lubartów, że zna każdy zakamerek w okolicy, całą Lubelszczyznę.

Ulubionym zajęciem taty w sobotę był tak zwany objazd, na który brał albo mnie, albo swoje wnuki. Jeździł po wszystkich wsiach gdzie miał kawałek lasu albo tam gdzie się wychował, gdzie ktoś znajomy mieszkał i patrzył, co się dzieje. Do nikogo nie zajeżdżał, do nikogo nie wchodził, ale sprawdzał, co się dzieje i zawsze komentował „O tutaj drewna nakradli, o tutaj nie dba o rolę, o tutaj nowy dach na stodole”. To była taka sobotnia tradycja. Sobotni objazd. Rzeczywiście, znał wszystkie ścieżki, skróty. Jak się z nim jechało, czasami nawet nie wiedziałam gdzie jesteśmy, bo skręcał w jakąś drogę boczną w lesie i nagle znajdowaliśmy się w miejscu gdzie mieliśmy być... za trzydzieści minut.

Wiem, że potrafił bardzo barwnie opowiadać...

Tata był znany z tego, że miał wiele przygód i o wszystkich mówił w bardzo przyjemny, zabawny sposób. Przyciągał przygody. Jeszcze jak był kawalerem jechali z mamą na motorze i tata zgubił mamę. Innym razem mama zgubiła tatę i odnalazła go w lesie. Kiedy brali ślub, to był 27 grudnia, było bardzo zimno, tak zimno, że mamie popękały skórzane trzewiczki i musieli do kościoła przedzierać się przez śnieg i tata niósł mamę na rękach żeby dotrzeć do kościoła.

Bardzo kochał Panią mamę...

Bardzo...Tata miał taki zwyczaj, niewielu mężczyzn go ma, że co sobotę, jak już wracał z pracy jechał rowerem na targ i kupował mamie świeże, cięte kwiaty. To były różne kwiaty, mama nie miała ulubionych, więc zazwyczaj zmieniały się każdego tygodnia. Zawsze kupował dwa bukiety, jeden stał przy mamie, przy łóżku, a drugi stawał w kuchni tak by podczas śniadania widziała te kwiaty. I co by się nie działo, zawsze w domu były świeże kwiaty. Zawsze pamiętał też o takich uroczystościach jak urodziny, walentynki, dzień kobiet, imieniny. Mnie zdarza się nie pamiętać o imieninach, on zawsze pamiętał o moich, mamy, braci, o wszystkich. Tata, który w pracy był zawsze dynamiczny, zdecydowany, czasem szorstki, dla mamy był zawsze pełen czułości. Nigdy nie powiedział do niej „matka, Zenona”, zawsze mówił o niej „moja Zenia” i zawsze się do niej tak zwracał. I nigdy nie słyszałam niczego innego. Byli zgodnym małżeństwem, czterdziestoletnim. W którymś momencie, pamiętam, że ktoś ze wsi mamy obraził mamę. Tata się bardzo zirytował i wykupił wszystkie działki dookoła tego pana tak, że nie mógł przejechać na swoje

pole, musiał jeździć dookoła. Odwołał to dopiero, kiedy były przeprosiny.

Pamiętam go jako człowieka, który w jakiś trudnych sytuacjach, nawet jeśli na początku nie znał rozwiązania, wychodził na plac, podrapał się w głowę, wracał i miał jakiś pomysł.

Razem z rodzeństwem śmiejemy się, że tata był taką osobą, która potrafiła rozwiązać każdy problem. Nawet jeśli nie wiedział o co chodzi, nawet jeśli ja miałam jakiś kłopot na studiach to dzwoniłam do taty i on nagle wpadał na jakiś genialny pomysł, że ma kogoś, kto mi pomoże, albo że to sytuacja podobna do jakiejś innej. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych, a były takie sytuacje, gdy było ciężko, na przykład w firmie, jakieś nowe inwestycje, poszerzenie działalności. Choroba mamy była takim momentem krytycznym, kiedy trzeba było podjąć bardzo ważne decyzje. Zgoda na operację na otwartym mózgu to decyzja, jaką podejmuje się czasami raz w życiu. W tym i wielu innych przypadkach tata zawsze wiedział jak postąpić. Miał w życiu dużo szczęścia i dużo intuicji. Nam pozwalał się uczyć na własnych błędach. To jego taka unikatowa cecha jak patrzę na inne rodziny. Zawsze ostateczny wybór należał do nas, tata niczego nam nie kazał. Nie mówił „musisz pójść na te studia, to zrobić”. On tylko zawsze mówił „Ty się dobrze zastanów, ty się dobrze zastanów i zrób jak uważasz”. A potem jak się okazywało, a wielokrotnie się okazywało, że ten wybór nie był najlepszy, to tata wtedy mówił „załatwimy to, spokojnie, nie dramatyzuj”. Zawsze pomagał nam sobie radzić z tymi konsekwencjami, które przychodziły po błędach. Ale nigdy nie reagował „o masz ci los i co teraz będzie?”. Kiedyś tata jechał z przyjacielem, przyjaciel prowadził, było ślisko, dachowali do rowu. Na szczęście nic się nie stało, Ten przyjaciel mówi spanikowany „Boże, Waldek, co my teraz zrobimy” a tata na to „No co zrobimy, wyłazimy stąd, będziesz tu siedział?”.

Bardzo zajmowała go praca?

Jeżeli chodzi o sprawy firmowe był konkretny, poukładany, trzymał wszystko w ryzach. Miał tylko sekretarkę i księgowego na usługach zewnętrznych, ale choć to właściwie niewiarygodne, to spinał to wszystko sam. Pamiętał, kiedy trzeba opłacić ubezpieczenie, kiedy podatek, kiedy trzeba gdzieś pójść, zrobić przegląd, zakupy. Excela by nie starczyło a mój tata miał to

w głowie. On to wszystko pamiętał a jeszcze do tego pamiętał o tych rzeczach rodzinnych. Ale praca była w pracy, a w domu był dom. Nawet, kiedy był jakiś problem, tata o tym nie mówił. Nie mówił, że z czymś się zmagam. Zawsze „wszystko w porządku, co tam u was?”. Choć tak naprawdę tata z pracy... wracał do pracy. Opieka nad osobą niepełnosprawną jest bardzo ciężka, wyczerpująca i fizycznie, i psychicznie. Tata to robił, wspinał się na to i nigdy na to nie narzekał. Dbał o to by mamie było dobrze, by jej komfort życia się nie pogorszył. Robił wszystko. Przystosował cały dom: poręcze, zjazdy, poszerzenie ścieżek. Tak by mama nie czuła się dziwnie. Od momentu, kiedy mama zachorowała, absolutnie nigdy jej nie obciążał. Wcześniej mama pomagała tacie, była taką jego księgową, asystentką, właściwie wszystkim, a potem już nie. Potem było to już silnie rozgraniczone i to chyba dobrze, bo dzięki temu dom był taki ciepły. Teraz dom bez taty jest strasznie... cichy. Gdy tata wstawał - a wstawał zawsze o szóstej rano, żeby dać mamie leki - to śpiewał. Więc gdy się budziłam to słyszałam, że śpiewa. Piosenki, góralskie przyśpiewki. Jego ulubioną piosenką była „Dziewczyny kochajcie nas” i ją właśnie śpiewał rano...

Lubił muzykę?

O, tak. Grał na akordeonie. Słabo, bardzo źle, ale próbował. Z tego wszystkiego mnie też wysłał na lekcje akordeonu. Miał przyjaciela z orkiestry, pana Bogdana i z panem Bogdanem często siedzieli w altance i grali na akordeonie. Lubił też tańczyć. Z mamą byli królem i królową parkietu. Tata lubił tańczyć, lubił śpiewać, lubił zabawę. Był taką osobą, z którą można było wszystko zrobić.

A jak odpoczywał?

Oglądał filmy przyrodnicze. Niedziela to był dzień filmowy. Tam były wieloryby, tygrysy, lamparty, żubry. Potem przy obiedzie opowiadał „a wiesz, że taki żubr to...”. I te objazdy, przejażdżki po miejscach, które znał i które lubił. Zwierzaki, las... Nie łowił ryb, ale lubił chadzać nad rzekę. Osiem lat temu kupił mamie na imieniny psa, yorka. Sam początkowo go nie lubił a potem... ten piesek spał z tatą w nogach, w łóżku. Kika jadła z tatą śniadanie, co miesiąc chodziła z nim do fryzjera i manicurzysty. Piesek miał wiele różnych przygód, podobnie jak tata, można powiedzieć, że pod tym względem byli do siebie podobni. Kiedyś pieska zaatakowały wrony i tata z łopata ją odganiał. Małe pisklą wypadło



z gniazda, Kika pewnie chciała się z nim bawić, chmara wron ją opadła a tata wypadł z łopata i odganiał te wrony aż uciekła. Traktował ją jak kolejne dziecko.

Jakieś szczególne wspomnienie, przygoda?

Jedno z takich moich najmielszych wspomnień z dzieciństwa to pobyt nad jeziorem. Wszystkich nas tata uczył pływać. Trzymałam się jego grzbietu jak taka mała żabka a tata wypływał na sam środek jeziora i zostawialiśmy tam tak długo, ile chciałam. I mogłam patrzeć ze środka, co się dzieje na brzegu. To było super, jak na łódce. Tato był moim przyjacielem. Był tatą, ale trzymaliśmy sztamę, dużo rzeczy robiliśmy razem, a teraz naprawdę jest bez niego bardzo pusto. Co drugi dzień o siódmej rano zawsze tata dzwonił i zdawał mi relacje z tego, co się dzieje w Lubartowie, a ja zdawałam mu relacje z tego, co się dzieje w Warszawie. A teraz budzę się i czekam na ten telefon. Cieszę się, że przed śmiercią udało się tacie zrobić trzydziestolecie swojej firmy, że hucznie je obchodził razem z pracownikami i przyjaciółmi. To było bardzo miłe wydarzenie, bardzo piękne, natchnęło go pozytywną energią na kolejne trzydzieści lat... Cieszę się, że przyjechał do Warszawy do mnie żeby zobaczyć jak mieszkam, że byliśmy w Londynie. Kilka małych rzeczy, które zawsze chciał zrobić a nie miał czasu i akurat szczęśliwie udały się w minionym roku.

Był optymistą?

Może nawet nie optymistą, ale był przekonany, że wszędzie pracują ludzie, i że to jest największą zaletą tego świata. Że ludzie są różni, ale w większości są jednak dobrzy. A jeżeli człowiek jest dobry, to może ci prawie we wszystkim pomóc. I na tym w dużej mierze bazował. Pewnie był z kimś w życiu pokłócony, ale nie dotarły do mnie takie głosy. Na pogrzebie było mnóstwo ludzi. Była pani, która sprzedaje chleb w takim małym okienku w Lubartowie, pani z apteki, byli panowie z urzędu skarbowego, były panie z ZUS-u, z banku, z takich różnych miejsc, w których tak naprawdę tata był tylko przechodniem. A jednak przyszli...

Zespół redakcyjny Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę

Ekstremalne przygotowanie do Wielkanocy

3 tys. osób nocą, nie zważając na ból i zmęczenie wędrowało przez kilkanaście godzin rozważając kolejne stacje Drogi Krzyżowej Chrystusa. Ekstremalna Droga Krzyżowa w Lublinie od samego początku, czyli od 4 lat przyciąga wielu. W jedną noc pokonuje się samego siebie, można też przyłgnąć do Boga. To wyjątkowy czas dla siebie i Pana, czas ogromnego wysiłku fizycznego i niezwykłych przeżyć duchowych. Idzie się samotnie lub w niewielkich grupach. W tym roku do wyboru było pięć tras – najkrótsza to ponad 30 km – z lubelskiej archikatedry wokół Zalewu Zemborzyckiego z ostatnią stacją u oo. Dominikanów. Trzy trasy miały po ponad 40 km i prowadziły z Lublina do Wąwolnicy. Najdłuższa, która także chętnie wybierana była przez uczestników – zapisało się na nią prawie 300 osób – miała 52 km. Każda z tych tras nieważnie czy przebyta w całości czy tylko we fragmencie zmienia człowieka. Dowodzą tego liczne świadectwa uczestników. Andżelika napisała tak - „Ekstremalna Droga Krzyżowa nie dotyka jednak wyłącznie wymiaru cielesnego, ponieważ na trasie doświadcza się przede wszystkim refleksji duchowej, także korzyści z wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu są minimum podwójne. Dotykają różnych sfer ludzkiego życia i warunkują zmiany przeróżnych aspektów naszej egzystencji, często takich, których się nie spodziewamy, których nie oczekujemy, o które nie śmiemy prosić. Tak naprawdę nigdy nie wiemy co się w nas dokona po takim wyzwaniu, dlatego uważam, że warto próbować, bo dla każdego może się dokonać coś dobrego.

Mnie Ekstremalna Droga Krzyżowa na pewno w jakiś sposób uwznieśliła. Przekonałam się, że człowiek ma w sobie ogromne pokłady wytrwałości, siły i wytrzymałości, ma także ogromne możliwości, które nie zawsze wykorzystuje. Powiedzenie „dla chcącego nic trudnego” nabrało dla mnie nowego znaczenia – rzeczywiście jesteśmy w stanie wiele dokonać, bo nawet gdy nogi odmawiały posłuszeństwa, to pomoc Boża, determinacja i brak możliwości odwrotu sprawiły, że jednak udało się osiągnąć cel i dotrzeć do końca trasy.”

Z pewnością, każdy kto wziął udział w EDK doświadczył wielu łask, które będą teraz kształtowały nasze życie. Nie warto żyć normalnie, warto żyć EKSTREMALNIE!

Życzę pogody w sercu i radości płynącej ze Zmartwychwstania Pańskiego!



FOTO: z archiwum Pielgrzymki

Pracownicy pytają – radca prawny odpowiada **EWA BANDERSKA**

CZY MOŻNA UMORZYĆ DŁUGI?

Słyszałam, że sąd może umorzyć długi. Jestem w bardzo trudnej sytuacji, mój mąż napożył pieniądze na rozkręcenie biznesu, który mu nie wyszedł. Jestem jedynym żywicielem rodziny i muszę spłacać dług męża. Komornik zajmuje moją pensję, ale przy jej wysokości nie ma szans żeby spłacić wysoki dług, odsetki wciąż rosną. Moja sytuacja jest beznadziejna, proszę o pomoc.

Imię i nazwisko znane redakcji

Przepisy prawa pozwalające na umorzenie przez sąd długów osób fizycznych nieprowadzących działalności gospodarczej funkcjonują już ponad trzy lata. Ustawodawca przewidział takie dobrodziejstwo dla każdego, kto posiada zadłużenie i spełni wymagane ustawą przesłanki. Mowa tutaj o prawie do złożenia w sądzie wniosku o ogłoszenie tzw. upadłości konsumenckiej.

Ogłoszenie upadłości kojarzy się nam z przedsiębiorcami, jednak obecnie sądy ogłaszają upadłość również osobom fizycznym nie prowadzącym we własnym imieniu działalności gospodarczej i nie będącym współnikami spółki osobowej ponoszącym nieograniczoną odpowiedzialność za zobowiązania. Instytucja ta może być zastosowana również w przypadku czytelnika, a w tym celu należy złożyć do właściwego sądu stosowny wniosek wraz z uzasadnieniem. Procedurę postępowania w sprawie o ogłoszenie

upadłości konsumenckiej reguluje ustawa z dnia 28 lutego 2003 roku Prawo upadłościowe. Wniosek zgłaszany jest na urzędowym formularzu, którego treść dostarcza sądowi informacji o zaistniałym w sprawie stanie faktycznym. Oprócz danych osobowych osoba składająca wniosek, czyli dłużnik, musi podać informacje o posiadanym majątku, sporządzić szczegółowy spis wierzycieli oraz opisać okoliczności uzasadniające wniosek. Jeżeli dłużnik posiada majątek, musi być świadomy, że po ogłoszeniu upadłości stanie się on masą upadłości, a zadaniem syndyka będzie spieniężenie go i zaspokojenie jak największej liczby wierzycieli. Podkreślić należy, że ogłoszenie upadłości konsumenckiej możliwe jest również w sytuacji, gdy dłużnik nie posiada żadnego majątku. Postępowanie jest wtedy prostsze, a syndyk jest w stanie sprawniej zakończyć czynności likwidacyjne. Natomiast w przypadku ukrywania przez dłużnika majątku,

gdy zostanie to wykazane w toczącym się postępowaniu, dojdzie do umorzenia postępowania, co skutkuje niemożnością złożenia wniosku o upadłość konsumencką przez kolejnych 10 lat, a dodatkowo będzie sankcjonowane przepisami karnymi.

Dłużnik musi uprawdopodobnić swoją niewypłacalność. Może to polegać na zestawieniu przychodów i wydatków, które ukaże brak płynności finansowej i trwałą utratę zdolności do wykonywania wymagalnych zobowiązań pieniężnych. Sąd badając przesłanki ogłoszenia upadłości analizował będzie czy do niewypłacalności, lub do zwiększenia jej stopnia, dłużnik nie doprowadził umyślnie, czy też na skutek rażącego niedbalstwa (sąd dokona analizy przesłanek negatywnych). Jeśli w sposób nie budzący wątpliwości we wniosku lub podczas toczącego się postępowania w sprawie o ogłoszenie upadłości uprawdopodobniony zostanie stan niewypłacalności, oraz brak

podstaw do zastosowania przesłanek negatywnych, sąd wyda postanowienie o ogłoszeniu upadłości, skutkiem którego będzie m.in. utworzenie masy upadłości i utrata przez dłużnika zarządu masą, oraz zawieszenie, a następnie umorzenie wszystkich postępowań egzekucyjnych.

Warto skorzystać z instytucji upadłości konsumenckiej, gdyż dla wielu dłużników jest ona szansą na rozpoczęcie nowego życia bez długów. Ogłoszenie upadłości zatrzymuje rosnącą spiralę zadłużenia, która jak pokazuje praktyka, potrafi przybierać niebotyczną skalę. Do istniejących już zobowiązań przestają być naliczane kolejne odsetki. Całe postępowanie w przedmiocie ogłoszenia upadłości będzie przeprowadzone w jednym postępowaniu sądowym, bez potrzeby nawiązywania kontaktu z każdym z wierzycieli. Postępowanie to nie jest również kosztowne. Wniosek podlega opłacie podstawowej w wysokości 30 zł.

Masz pytanie do naszego radcy prawnego?

Potrzebujesz porady prawnej?

Napisz - odpowiedź opublikujemy

na łamach EKOgadki.

redakcja @ekogadka.pl



ADAM PRZYSTUPA

JEDYNA TAKA POCZTÓWKA

Zbierając pocztówki nie miałem pojęcia, że wraz z milionami innych ludzi na całym świecie dzielę pasję zwaną deltiologią czy też filokartystyką.

Jest w domu moich rodziców w najmniejszym pokoju regał, w nim zaś skarby rozliczne, które wnuki powoli odkrywać będą. Wśród nich niewielkie pudełko. Jeśliby wierzyć napisom, skrywać powinno model samolotu bombowego „Karaś”. W jego wnętrzu jednak od trzydziestu lat zgoła snią spokojnie zwierzęce zastępy – psy, koty i konie zastygłe na kartkach pocztowych. Winienem raczej napisać sniały, bo oto uchylam wieczko pudełka a one powoli uchylają powieki. Dwakroć szybciej i szerzej czyni to moja córka. Radość z zadziwieniem walczy na jej licu, bo czegoś takiego jeszcze nie widziała. Znak to czasów. Jeśli sięgamy dziś po kartki pocztowe to jedynie z okazji świąt. Z rzadka ślemy je z urlopowych eskapad. I tak mają większe szczęście od listów, które zwolna odchodzą w niezastężoną niepamięć.

Zbierając pocztówki nie miałem pojęcia, że wraz z milionami innych ludzi na całym świecie dzielę pasję zwaną deltiologią czy też filokartystyką. Obok zwierząt mój regał skrywał kartki z wizerunkami miast i miasteczek, kolorowymi kadrami z „dobranocem” czy czarno-białe pocztówki z sylwetkami polskich olimpijczyków. Miałem też w swoich zbiorach kolekcjonerskie zestawy z reprodukcjami malarstwa, muzealnymi eksponatami wszelkiego rodzaju, czy „malowanymi dziećmi” z okresu Księstwa Warszawskiego. W czasach, gdy lubelskie targi staroci gościły jeszcze w ostatnią niedzielę miesiąca nie na bosku III Liceum, ale w spowitych papierosowym dymem salach Lubelskiego Domu Technika, oglądałem wyłożone na stołach

przepiękne karty pocztowe z początku ubiegłego stulecia, te świąteczne, te legionowe. Mój tato starał się wyłuskać spośród nich wzrokiem pocztówki związane z morzem a ja podziwiałem ich wielobarwną różnorodność.

Filokartystyka, jako hobby ustępuje na świecie jedynie dwóm innym formom zbieractwa – numizmatyce i filatelistyce. Zda się nawet, iż w odróżnieniu od kolekcjonowania pocztowych znaczków stwarza większe szanse na tematyczne profilowanie własnych zbiorów. Zdumiewa ich różnorodność. Kogo poniesie fantazja może choćby (o czym czytam na jednej z tematycznych stron internetowych) zbierać widokówki, na których uwieczniono zapomnianych dziś „niedźwiedzich przewodników”, którzy wędrowali od miasteczka do miasteczka prezentując swych kudłatych, tańczących podopiecznych. Zapewne niewiele z nas słyszało o owych montreur d'ours jak zwano ich nad Sekwaną. I właśnie ta możliwość poznawania zadziwiającego świata jest w zbieraniu pocztówek najpiękniejsza. No, może poza ich wartością sentymentalną, której lekceważyć nie wolno. Historycy wskażą zapewne również na ich wartość ikonograficzną – w istocie, są one bezcennym źródłem wiedzy o czasach minionych, czasem jedynym, bezcennym.

I tak już od... No właśnie, kiedy pojawiły się pierwsze karty pocztowe? Powiadają, że autorem pomysłu by zrezygnować z kopert i miast listu posyłać wieści na małych, sztywnych karteczkach jest urodzony w Słupsku radca pocztowy Heinrich von Stephan. Koncept ogłoszony 30 listopada 1865 roku podczas odbywającej się

w Karlsruhe V Niemieckiej Konferencji Pocztowej, przepadł jednak podczas obrad, jako nie mający przyszłości. Ba, obrazoburczy. Zważmy, iż od niepamiętnych czasów zadaniem poczty było nie tylko dostarczyć korespondencję, ale również stać na straży jej zawartości. Ledwie od 45 lat był wówczas w użyciu nowy brytyjski wynalazek – pocztowa koperta. Wcześniej sekretu listów broniły pieczęcie na złożonych kartkach. Celowe odtajnienie korespondencji mogło uchodzić za niedorzeczne.

Cóż, von Stephan, nie miał jeszcze wówczas tej siły przekonywania, która w przyszłości pozwoli mu gruntownie zreformować pruski system pocztowy, ale rzucił myśl podchwyconą przez innych. Blisko cztery lata później 1 października 1869 roku pierwszą kartę korespondencyjną wyemitowała za sprawą profesora Akademii Wojskowej w Wiener Neustad dr Emanuela Hermanna poczta austriacka. Żółty kartonik o wymiarach 8,5 cm x 12,2 cm z wydrukowanym znaczkiem i napisem „Korrespondenz – Karte” kosztował mniej niż połowę

ceny listu, stąd już w pierwszym miesiącu sprzedano 1,4 mln kartek pocztowych. W kolejnym 1870 roku karty pocztowe weszły do powszechnego użytku w Prusach, Luksemburgu, Szwajcarii, Finlandii i Wielkiej Brytanii. Trzy lata później za sprawą Polaka, deputowanego do Zgromadzenia Narodowego Ludwika Wołowskiego oficjalnie tę formę korespondencji wprowadziła u siebie Francja. Gwoli sprawiedliwości wspomnieć w tym miejscu należy, iż blisko sto lat wcześniej u schyłku, lat siedemdziesiątych XVIII stulecia, funkcjonująca w Paryżu tzw. Mała Poczta oferowała obok dostarczania listów tzw. otwarte karty pocztowe, które wszakże nie zachowały się do naszych czasów. Niektórzy

właśnie w nich upatrują praprzodka dzisiejszej pocztówki. Jeszcze inne zdanie mają na ten temat Brytyjczycy wskazując, iż pierwszą ilustrowaną pocztówkę wysłał w 1840 roku ich rodak, pisarz i kompozytor Teodor Hook.

Musimy wiedzieć, iż Hooka dla dobrego żartu stać było na wiele. Do historii przeszedł zakład, jaki stanął między nim a innym literatem i architektem Samuelem Beazleyem o to, iż trafi z dowolnego domostwa uczynić najbardziej znany adres w Londynie. Przypadkowy wybór padł na niepozorny dom pani Tottenham przy Berners Street 54. Na przygotowa-

nia Hook potrzebował tygodnia, w ciągu którego rozesłał ponad tysiąc listów w imieniu starszej pani. Wreszcie o piątej rano 27 listopada 1810 roku do drzwi domu przy Berners Street 54 zapukał kominiarz. Theodor Hook stojący po drugiej stronie ulicy z rozbawieniem musiał oglądać w świetle dopalających się latarni, scenę, w której zdziwiona pokojówka próbuje tłumaczyć zdenerwowanemu rzemieślnikowi, iż jej pani nie zamawiała oferowanej przez niego usługi. Niebawem pod drzwiami stała już dwu-
stoosobowa grupka rozczarowanych i złorzeczących kominiarzy. Konsternacja wdowy Tottenham wzrosła, gdy pod dom zajęchało kilkanaście wozów z zamówionym węglem na zimę, transport mebli, ładunek ziemniaków, wielka beczka dostarczona przez piwowara a nadto dźwigane przez sześciu mężczyzn organy. Wkrótce przez Berners Street nie sposób było przejechać. Ulice blokowały pojazdy dostawców i dorożki, którym przybywali lekarze, jubilerzy czy, ku zdziwieniu wszystkich, ważne w ówczesnym Londynie osobistości: księżę Yorku Fryderyk August Hanowerski (zjawił się wezwany do umierającego pod tym adresem swego



zaufanego), Charles Manners-Sutton arcybiskup Canterbury, minister sprawiedliwości, zarządca banku Anglii i burmistrz Londynu. Między pojazdami do drzwi domu pani Tottenham przeciskali się nadto krawcy, tapicerzy, sprzedawcy warzyw, rzeźnicy, kuśnierze i inni rzemieślnicy. W dostępnych przekazach nie wspomniano nic o śmieciarzach, ale pełni obrazu dopełniał karawan, zapewne przyprawiający o drżenie serca i właścicielkę domu i księcia Yorku. Porządek na ulicze, którą być może niektórzy z nas mieli okazję oglądać na londyńskich pocztówkach, zaprowadziły dopiero wzmocnione siły policji. Teodor Hook wygrawszy zakład na jakiś czas przezornie opuścił stolicę.

Ale wróćmy do roku 1840. W odróżnieniu od kartek pocztowych Hermanna i von Stephana, karta Hooka na jednej ze stron miała ilustrację, na drugiej zaś jedynie dane adresata. Bez wątpienia jego zamiarem było, by urzędnicy pocztowi obejrzeni zamieszczoną na karcie ilustracją. Bynajmniej nie było na niej wizerunku domu przy Berners Street 54, choć zważywszy na udział londyńskiej poczty w przygotowanej przez niego trzydzieści lat wcześniej mistyfikacji, byłby to żart smakowity. Do rąk pracowników poczty trafił satyryczny obrazek przedstawiający ich przy pracy. Tyle tylko, iż jeśli zawierzyć autorowi polegała ona na rozcinaniu kopert w celu zapoznania się z ich zawartością. Zachowana do dziś kartka została w 2002 roku sprzedana na aukcji za 31 750 funtów.

W tym miejscu jedna uwaga. Gwoli sprawiedliwości kartkę Hooka należałoby uznać nie tyle za pierwowzór kartki pocztowej, ale właśnie... pocztówki zwanej też czasem widokówką, która z kartki pocztowej wyrosła. Jeszcze w 1870 roku we Francji pojawiła się klasyczna kartka na wzór renesansowych map ornamentem zdobiona. Z czasem ornamenty, wzory zajmować będą coraz więcej miejsca na kartce, aż przyjmą formę dzisiejszej pocztówki. Co ciekawe za „złotą erę” pocztówki uznaje się lata 1898 – 1918. Kolekcjonowali je wtedy wszyscy bez względu na płeć, wiek czy pochodzenie. Dość powiedzieć, że w 1904 roku pojawiło się w Warszawie pierwsze polskie czasopismo kierowane do fascynatów tego zajęcia o wdzięcznej nazwie „Listek”. Cztery lata wcześniej na ogłoszony konkurs, w którym szukano polskiej nazwy dla kart widokowych wpłynęło aż 296 propozycji. Zwyciężyła wówczas

właśnie „pocztówka” zaproponowana przez „panią Marię z R.” czyli... ukrytego pod owym pseudonimem Henryka Sienkiewicza.

Historia pocztówki, to zda się przegląd wszelkich możliwych technik artystycznych od stalorytów, przez litografię i chromolitografię gdzie stalową płytę, na której przygotowywano ilustrację zastępowano wypolerowanym kamieniem wapiennym, niezwykle dokładny światłodruk z wykorzystaniem płyt szklanych po używaniu do dziś druk offsetowy. To również różnorodność materiałów, wśród których zwraca uwagę szczególny rodzaj kartonu wykorzystywany w latach 1931 -1959 przy produkcji widokówek w Stanach Zjednoczonych. Za sprawą dużej wartości szmat używanych do produkcji tego papieru zwać moglibyśmy je pocztówkami z recyklingu. Amerykanie ochrzcili je mianem Inianych, z uwagi na szczególną ich fakturę przypominającą płótno.

Na koniec chciałbym wam jeszcze rzec o jednej, szczególnej pocztówce. W czerwcu 2008 roku dla KOM-EKO, z myślą o drugiej edycji lubelskiego festiwalu miejskiego zwanego „Nocą kultury”, zaprojektował ją Piotr Lewicki. Jeśli się nie mylę, to jedyne widokówka, na której umieszczono... śmieciarkę. Przeszukując zasoby internetu odnalazłem co prawda pocztówkę z reprodukcją grafiki Williama H. Pyne z 1805 roku przedstawiającą londyńskiego śmieciarza (dustmena) z charakterystyczną konną dwukółką w tle, ale kartka sprezentowana kolekcjonerom przez KOM-EKO, jako jedyna prezentuje prawdziwy, po dziś dzień użytkowany pojazd. Jak widać nie jest to klasyczna śmieciarka, ale stylizowany wóz konny do odbioru nieczystości, który od jesieni 2007 spotkać można na uliczkach Starego Miasta w Lublinie. Sama bryczka, jak zwykliśmy ją często nazywać, warta jest oddzielnej opowieści, ale w tym miejscu wspomnieć należy, iż pocztówka uwieczniła pierwszą powożącą panią Katarzynę Staruch oraz sympatycznego, acz upartego huculskiego konika zwanego Iwanem. Karta opatrzona stosownym, okolicznościowym stemplem okazała się niemałą atrakcją owej niezwyklej, sobotniej nocy.



WIEDZY NIGDY ZA WIELE MAŁGORZATA GAJKO

Zajęcie wynagrodzenia za pracę

Egzekucja komornicza to dla dłużnika/pracownika bardzo stresująca sytuacja. Zazwyczaj kojarzy nam się z pozbawieniem nas wszelkich środków do życia. Nie jest to jednak do końca zgodne z rzeczywistością. Komornik może pozbawić nas tylko części pieniędzy, jako dłużnicy również mamy swoje prawa.

Zajęcia komornicze najczęściej dotyczą wynagrodzenia, na które składa się: płaca zasadnicza, nagrody, premie, zasiłek chorobowy, wypłaty z Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych itp.

Komornik zawiadamia pracodawcę o zajęciu wynagrodzenia za pracę. Obowiązkiem pracodawcy z kolei jest potrącenie wynagrodzenia z zachowaniem kwoty wolnej od potrąceń, która wynosi 1530 zł netto do wypłaty. Kwota wolna od zajęć komorniczych to właśnie pieniądze, które komornik musi pozostawić do dyspozycji dłużnika (pracownika). Jeżeli pracownik zatrudniony jest na część etatu, kwota ta ulega proporcjonalnemu zmniejszeniu.

W przypadku zajęć alimentacyjnych komornik może zająć 60% wysokości wynagrodzenia. W przypadku egzekucji innych należności potrącenia wynoszą maksymalnie do połowy wynagrodzenia.

Powyższe nie obejmuje umów zlecenia z których komornik może zająć cały dochód. Zgodnie z artykułem 833, paragrafem 2 Kodeksu postępowania cywilnego, również osoby zatrudnione w oparciu o umowę zlecenie mają swoje prawa w konfrontacji z komornikiem. W przypadku kiedy umowa zlecenie stanowi jedyne źródło dochodu, również zachowuje się kwotę wolną od potrąceń równą minimalnemu wynagrodzeniu (1530 zł netto).

Wiosenni przybysze



Tekst - Marcin Polak, Zakład Ochrony Przyrody,
Wydział Biologii i Biotechnologii UMCS w Lublinie

Rysunki - Marek Kołodziejczyk,
ilustrator dzikiej przyrody,
www.marek-kolodziejczyk.pl

Bocian biały jest symbolem zbliżającej się wiosny. Gatunek ten jest dalekodystansowym (między –kontynentalnym) migrantem i spośród wszystkich ptaków krajowych, które zimują w południowej Afryce pojawia się najwcześniej na lęgowskich. Corocznie w Polsce ptaki powracające do gniazd można zaobserwować już po 20 marca. Bocian biały jest też najbardziej „polskim” ptakiem. Wielkość krajowej populacji wynosi od 52 000 do 54 000 par lęgowych, co stanowi około 20% populacji światowej. Gatunek ten od dawien dawna związany jest z człowiekiem. Zdecydowana większość gniazd zlokalizowana jest w bliskim sąsiedztwie siedzib ludzkich. Bocian biały do życia potrzebuje ekstensywnego krajobrazu rolniczego. Najchętniej preferuje mozaikowe tereny z dużą ilością koszonych lub wypasanych łąk, rozlewisk, oczek wodnych, gdzie ma dostęp do zróżnicowanych ofiar, którymi przede wszystkim są: małe ssaki, bezkręgowce, płazy, ryby. Obecnie jesteśmy świadkami dynamicznego procesu zmniejszania się udziału gniazd położonych na dachach budynków i na drzewach na korzyść gniazd zakładanych na słupach energetycznych. Duże rozmiary, ciekawy wygląd, intrygująca biologia i „sympatia” do człowieka powoduje, że spośród wszystkich krajowych ptaków bocian biały jest najbardziej rozpoznawanym, lubianym i charyzmatycznym gatunkiem.

Rycyk to rzadki gatunek związany z podmokłymi łąkami i torfowiskami. Jest to niezwykle piękny ptak charakteryzujący się długim dziobem i długimi nogami. W okresie lęgowym rycyki są bardzo agresywne i potrafią przeganiać inne gatunki ze swoich rewirów. Wczesną wiosną można zaobserwować pary i niewielkie grupki, które bardzo hałaśliwie i z dużym przejęciem bronią swoich gniazd przed człowiekiem



lub drapieżnikami. Gatunek ten tworzy swoisty parasol ochronny, przez co wiele innych, łagodniejszych ptaków chętnie gniazduje w jego sąsiedztwie. Rycyk gnieździ się głównie w szerokich dolinach rzecznych, w których występują rozległe wiosenne, rozlewiska. Podobnie jak bocian biały jest również ptakiem po części uzależnionym od działalności człowieka. Preferuje tereny otwarte, gdzie prowadzony jest tradycyjny, ekstensywny

wypas krów i koni. Ze względu na intensyfikację rolnictwa, takich miejsc w naszym kraju jest z roku na rok coraz mniej. Liczebność populacji polskiej rycyka gwałtownie spada w ostatnich latach. Najnowszy szacunek to zaledwie 1 500 – 2 000 par lęgowych. Można go jeszcze spotkać w większych ilościach nad Biebrzą, Narwią, Nidą, Bugiem, ale z wielu miejsc bardzo szybko się wycofuje.

O wildze można powiedzieć, że jest raczej tropikalnym gatunkiem, niż charakterystycznym dla naszej strefy umiarkowanej. W cyklu rocznym spędza u nas zaledwie cztery miesiące. Przylatuje do Polski dopiero w maju i już w sierpniu odlatuje na zimowiska w Afryce. Wilga jest szeroko rozpowszechnionym gatunkiem i zasiedla różnego rodzaju zadrzewienia i lasy. Większość ludzi kojarzy wilgę ze względu na piękny, melodyjny głos – gwizd, którego transkrypcja słowna to: „zofija fija”. Według ludowych przesądów zwiastuje on nadchodzący deszcz. Ptak ten prawie całe życie spędza w gęstej roślinności wysoko w koronach drzew i w związku z tym mało kto ją widział. A jest co oglądać. Samce charakteryzują się niesamowitym, cytrynowo – czarnym upierzeniem. Intensywność tej barwy nie jest niczym niezwykłym wśród egzotycznych gatunków żyjących w tropikach, ale w naszym kraju mało jest tak bajecznie kolorowych ptaków. Na szczęście sytuacja polskiej populacji wilgi jest dobra i w latach 2000 – 2017 można było zauważyć umiarkowany wzrost liczebności. Ocenia się, że w Polsce gnieździ się od 380 000 do 480 000 par lęgowych tego gatunku.



O rybie, co lubiła kąpiele

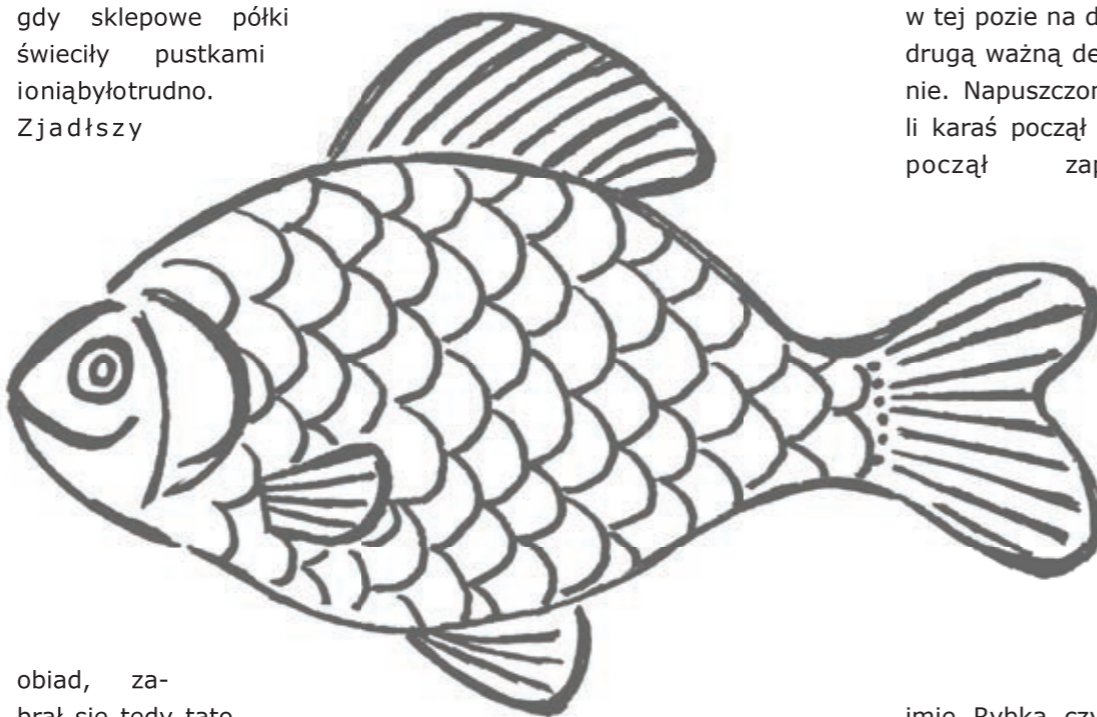
Nie wszystko, co baśnia się zdaje, baśnią bywa.

ADAM PRYZSTUPA

Byla jesień osiemdziesiątego roku, co dla wielu historię tę tak odległą czyni, jakby za siedmioma górami i siedzioma lasami rzecz miała miejsce. Wzgórza wszakże zupełnie obce jej nie są, bo Lublin, jak powiadają, na siedmiu z nich się rozłożył. Nadto blok, w którym wówczas mieszkałem pobudowano na pagórku, u którego podnóża rozciąga się „stara Kalina”, dzielnica charakterna, na którą obcy zwłaszcza po zmroku nie zwykli się zapuszczać. Od południa przed wiekami stanął tu klasztor augustianów. Przypomina dziś o tym kościół św. Agnieszki i piękna, kryta drewnianą klepką kotłownia studnia. Od północy cieszy oczy lessowy wąwóz, gdzie dziczące jabłonie, śliwy i grusze dawnych sadów są wspomnieniem. Wąwóz, który bywał swego czasu przedmiotem poważnych międzyosiedlowych sporów przepłaconych niejednym guzem czy sinakiem. Z owej góry zbiegaliśmy codziennie do szkoły, mijając po drodze jelonka. Jakże inaczej mieliśmy zwać przedziwny kształt kulistej zablźnionej gałęzi i dwa konary pnące się ku górze na podobieństwo poroża. Droga do szkoły miała wtedy swój codzienny rytuał, w ramach którego należało wspiąć się na niewysoki, kamienny murek, sięgnąć dłonią ku górze i pogłaskać go po pyszczku. Poczuć chropowaty dotyk kory, jej kształt, który do dziś pozostał pod palcami. Z owej góry, z okien czwartego piętra roztaczał się widok na most na Bystrzycy, na szarą wstęgę ulicy, którą od strony fabryki samochodów ciągnęły co raz czerwone autobusy. Z nosem przylepionym do szyby czekałem tam z siostrą powrotu rodziców.

Tego dnia, jeśli wierzyć starym kalendarzom,

był czwartek. Tato wrócił z pracy obdarowany należnym pracownikom przydziałem mrożonej ryby. Ot dwa karasie, każdy może po pół kilo. Jak mawia tato „patelniaki”. Nazwa sama w sobie przesądzała los podarunku. Rybka smaczna, acz oścista. Natrudzi się człowiek, opluje, ale w czasach, gdy sklepowe półki świeciły pustkami ioniąbyłotrudno. Zjadłszy



obiad, za-
brał się tedy tato
za ryb sprawianie w kuchennym zlewie. Odtajały już nieco, bo całą zmianę przeczekwały w fabryce w szafce. Zaglądałem zaciekawiony do zlewu, ale początkowo nie dostrzegłem niczego niezwykłego. Wróciłem do zabawy. Po chwili biegłem już znowu do kuchni przywołany przez tatusia. Srebrzysta rybka leżąc w zlewie ruszała ogonem. Z każdą chwilą coraz intensywniej poruszała

skrzelami i pyszczkiem. Puszczony z kranu strumień wody przywrócił jej wigor. Po chwili w kuchni była już cała rodzina.

Decyzja mogła być tylko jedna. Rybce najwyraźniej pisane było życie. Dziś mądrzejszy o lekturę, wiem, iż ten słodkowodny gatunek wykształcił w sobie szczególną umiejętność przetrwania. Zamieszkując płytkie zbiorniki wodne, zwłaszcza zimą, gdy lód blokuje dostęp tlenu, nie strasza mu „przyducha”. Potrafi przetrwać na bezdechu przemieniając zatrujące komórki mleczany w alkohol etylowy. Jakkolwiek niewychowawczo to zabrzmi, karaś przyjął strategię przetrwania na rauszu. Wtedy jednak wiedzieć o tym nie mogłem, co z resztą dla całej sprawy nie miało najmniejszego znaczenia. Rybka żyła i żyć miała. Po usilnych błaganiach postanowiono, że wszyscy obejdą się smakiem a odratowany karaś zamieszka z nami. Już widzę, jak wielu czytających te słowa wykonuje znaczący gest zbliżając dłoń do czoła. Przeczytawszy kolejne zdania, mogą ku memu rozbawieniu, pozostać w tej pozycji na dłużej. Po chwili namysłu podjęto drugą ważną decyzję – ryba zamieszka w wannie. Napuszczono doń zimnej wody i po chwili karaś począł dochodzić do siebie. Powolutku począł zapoznawać się ze swoim nowym

domostwem. W tym czasie uradowany sześciolatek już wspinał się w kuchni na krzesło, by sprawdzić przyczepiony do szczytowej ściany kredensu kalendarz. Pamiętam, jak wędrowałem po nim palcem by w praktyce wykorzystać świeżo zdobytą umiejętność czytania. Jedenasty dzień września. Imieniny Prota.

Rybka musiała mieć swoje imię. Rybka, czyli ona, a więc Prota.

Od tej pory Prota stała się pełnoprawnym członkiem rodziny. Z każdym dniem coraz bardziej oswajała się z nowymi okolicznościami. Karmiona kaszą manną i płatkami owsianymi, żwawo przemierzała kolejne długości wanny. Z czasem odzyskała przypisany jej srebrzysty wygląd i błysk w oku. Zapytacie, co z kąpielą? Cóż Prota, co wieczór użyczała nam wanny. Na ten czas mama łapała ją przy pomocy

durszlaka (który ja z uporem nazywałem druzslakiem) i umieszczała w miednicy z wodą. Gdy wszyscy domownicy już się umyli wannę ponownie napełniano wodą oddając w panowanie Procie. Początki były oczywiście trudne, ale z czasem rybka oswoiła się z codziennym rytuałem i mieliśmy wrażenie, że ze zrozumieniem wędruje do wanienki. Bywało, że nawet dawał się złapać rękami, ale przywilej ten był przypisany tylko mamie. Owe zabiegi wymagały oczywiście każdorazowo dwukrotnego szorowania wanny przed i po kąpieli tak by nikomu nie uchybić. Wspomnieć, też należy, iż o licznikach wody przypisanych do mieszkania nikt jeszcze wówczas nie słyszał.

Mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem a Prota, ku ucieście wszystkich miała się coraz lepiej. Ba, rosła w oczach. Nie przeszkadzała jej chlorowana woda, do której z miejsca przywykła. Przywykła do naszej obecności, tak jak my do niej. Kłopot nosła ze sobą dopiero perspektywa zbliżających się wakacji. Poświęcenie mamy też miało swoje granice. Propozycję rozwiązań kulinarnych skreślono na samym początku. Alternatywą wydawało się wypuszczenie Proty do wód Bystrzycy, ale doświadczenie spacerów nad rzeką zaowocowało gwałtownym protestem. Ich szaro-stalowa barwa akcentowana niemiłym zapachem nie wróżyła niczego dobrego. Najmłodsza część rodziny wnosila w tej sytuacji, że może więc lepiej byłoby niczego nie zmieniać, ale ostatecznie uległa wobec pomysłu uwolnienia rybiego domownika z dala od miasta. Uradzono, że jej nowym domem będzie rzeka w odległym o 50 kilometrów Siemieniu. Chwilowo nierozstrzygnięta pozostawała kwestia, w jaki sposób Protę tam przetransportować.

Nadszedł wreszcie słoneczny lipiec 1981 roku. Tato wszył do wnętrza materiałowej torby foliowej worek, który następnie napełniliśmy wodą. Niewiele z tego rozumiejąca Prota, po dziesięciu miesiącach opuszczała swoją wannę i ruszała w podróż w nieznaną. Odprowadzaliśmy ją we trójkę – ja, moja starsza siostra Agnieszka i tato. Autobus do Białej Podlaskiej odchodził z dworca pod Zamkiem bladym świtem. Czekala nas półtoragodzinna podróż. Wszystko przebiegało zgodnie z planem aż do Julipola. Nim za oknem biało-pomarańczowego autosana pojawiły się pierwsze domostwa coś z tyłu autobusu zawył, huknęło, coś się zadymiło. Pojazd stanął



FOTO: Autor - Staw Siemieński.

na poboczu w szczerym polu. Kałuża pod pojazdem i kłęby czarnego dymu nie wróżyły niczego dobrego. Po chwili było już wiadomo, że autobus nie nadaje się do jazdy a pasażerowie muszą sobie radzić sami. Na szczęście do celu pozostało nam jakieś siedem kilometrów. Odległość zda się niewielka, ale dla ekipy, w której skład wchodzi sześciolatek, jedenastolatka i mocno zdeorientowany karaś srebrzysty, wyzwanie wcale nie proste. Cóż było robić. Dzień był słoneczny. Ruszyliśmy pieszo noga za nogą. Tato niósł Proteę, moja siostra inne pakunki, ja... mężnie starałem się dotrzymać kroku. Na barwinowskiej drodze, co malowniczo wśród pól się wiję, krok miałem cokolwiek podejrzany. Jeden krok na przód, dwa w poprzek, na miękkich nogach.

Dotarliśmy wreszcie do Siemienia. Przy grobli, którą ponoć tatarscy jeńcy jeszcze za króla Władysława IV sypali, a po której dziś szosa do Miłkowa biegnie, z jednej strony staw się rozłożył zasilany wodami Tyśmienicy, z drugiej wiję się wstęga rzeczki Piskornicą zwanej. Młyn mурowany, co opodał stoi, silnej strugi wymagał by go zasilić, czemu Piskornica poddać nie mogła. Przekopano tedy dawniej kanał przegródkami zwany, którym wody ze stawu upuszczano. Tam też tato nowe pielesze dla Protę umyślił. Igrało słońce na płytkiej tafli wody, na liściach zielonych. Uchyliliśmy torby, wyskoczyła, popłynęła... „Cześć Protę!”, rzucam jej niezmiennie Staw Siemieński mijając. Słyszysz na pewno...

Masz własną, ciekawą historię?

**Napisz a opublikujemy ją
na łamach EKOgadki!**

redakcja @ekogadka.pl

RZECZY POMIESZANIE

ADAM PRZYSTUPA

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących,
ale zawsze prawdziwych...

Najwięcej goli w jednym oficjalnym spotkaniu piłkarskim padło 31 października 2002 w meczu piątek kolejki fazy finałowej rozgrywek o mistrzostwo Madagaskaru. Na boisku w Antananarywie miejscowy zespół AS Adema pokonał drużynę SO de l'Emyrne 149:0 (75:0). Co istotne, w tym spotkaniu ustanowiono jednocześnie rekord w zakresie ilości bramek samobójczych. Piłkarze zespołu SOE do własnej bramki trafiali... 149 razy. Takie, a nie inne zachowanie piłkarzy, było formą protestu wobec postawy sędziów, którzy wedle ich oceny w poprzednim spotkaniu dyktując niezasłużony rzut karny pozbawili ich szans na obronę mistrzowskiego tytułu.

Czy Indianie nosili zbroje? Pytanie absurdalne tylko na pozór. W ręce Indian północnoamerykańskich dostała się pewna liczba kolczug noszonych przez Hiszpanów, którzy w XVI podbijali m.in. tereny dzisiejszego stanu Teksas. Nosił takową wódz Komanczów Żelaznu Surdut, który zginął 1858 roku pod Antelope Hills. Kolejną zdobyli na wojownikach Kiowa zwiadowcy z plemienia Ute w 1864r. w bitwie pod Adobe Walls. Wedle relacji spisanych przez G.B. Grinnella kolczuga była też w posiadaniu Szejenów.

Nazwiskiem Philipa M. Parkera, piastującego na co dzień funkcję profesora na Wydziale Zarządzania prywatnej uczelni INSEAD, sygnowane jest ponad 106 000 książek. Taki wynik sytuowałby Amerykanina na czele listy najpłodniejszych pisarzy wszechczasów, gdyby nie fakt, iż owe książki to wytwór komputera. Są one formatowane przez opracowany przez Parkera algorytm, który zaciąga informacje z dostępnych elektronicznych baz danych. Komu więc należy się owo miano? Hiszpański dramaturg Lope de Vega (1562-1635) napisał ponoć 2 000 dramatów, ale do dziś zachowało się ich jedynie 500. Przypisuje mu się również m.in. 3 000 sonetów. W Polsce pierwszeństwo należy się Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu (1812-1887), spod którego ręki wyszło m.in. 220 powieści, 150 opowiadań, 20 dramatów, 20 tomików poetyckich.

Miejscowość o najdłuższej na świecie nazwie zapisanej alfabetem łacińskim leży w północno-zachodniej Walii, na wyspie Anglesey. Jej nazwa ma 58 liter, a jej wymowa siłą rzeczy wymaga wzięcia bardzo głębokiego oddechu. Spróbujcie - Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwlllantysiliogogoch. Tłumacząc z walijskiego, oznacza to - Kościół Świętej Marii nad stawem wśród białych leszczyń niedaleko wodnego wiru pod Czerwoną pieczarą przy kościele św. Tysilia. Na co dzień mieszkańcy miasteczka zwykli skracać jego piękną, obrazową nazwę do przystępniejszej formy Llanfairpwll.

Dwaj charyzmatyczni przywódcy, którzy w największym stopniu (obok Ignacego Jana Paderewskiego) przyczynili się do odzyskania przez Polskę niepodległości rywalizowali ze sobą nie tylko na polu idei i wizji odbudowy ojczyzny. Zarówno Józef Piłsudski, jak i Roman Dmowski smalili cholewki do tej samej kobiety - Marii z Koplewskich Juszkiewiczowej. Starania o rękę wileńskiej nauczycielki, działaczki PPS, zwanej „Piękną Panią” wygrał Józef Piłsudski. Ich ślub w obrządku ewangelicko-augsburskim odbył się 15 lipca 1899 we wsi Paproć Duża na Podlasiu. Odrzucony Dmowski, nigdy się z tym faktem nie pogodził, co więcej do końca życia pozostał kawalerem. Nie trzeba dodawać, iż owe konkury zaważyły na relacjach obu panów, którzy szczerze nie darzyli się sympatią. Mimo to potrafili wznieść się ponad wzajemne urazy w roku 1918.

By ćwiczyc Taekwon-Do zbierałem makulaturę...



O Taekwon-Do, jako pasji, przygodzie i zdrowym sposobie życia, jego historii i tajemnicach rozmawiamy z **Tadeuszem Łobodą** – Prezydentem Europejskiej Federacji Taekwondo, posiadaczem stopnia VIII DAN, legendarnym trenerem i wychowawcą wielu mistrzów świata i Europy, mieszkającym w Lublinie.

Taekwon-Do, czyli...

Sztuka walki, dyscyplina sportowa, ale też sposób by zachować zdrowie, sprawność, dobre samopoczucie. Jako sztuka walki ma element fizyczny - treningu i umysłowy – pracy nad sobą. Dlatego kiedy na zajęcia przychodzą małe dzieciaki to nie przynoszą ze sobą słodzonych napoi, tylko zachęcamy dzieci do picia wody mineralnej, do zdrowego odżywiania, dbania o aktywny tryb życia.

Jakie były początki Taekwon-Do?

Twórcą Taekwon-Do był generał armii południowokoreańskiej Choi Hong Hi. Generał Choi urodził się w rodzinie arystokratycznej w czasach, gdy Korea była pod brutalną japońską okupacją. W wieku 12 lat został wyrzucony ze szkoły za prowadzenie agitacji przeciw okupantom. Rodzice mieli z nim poważny kłopot. Co zrobić z dzieckiem, które ma 12 lat i nie może iść do żadnej szkoły? Posłano go na naukę do mistrza kaligrafii, który jak się okazało był również mistrzem w starej koreańskiej sztuce walki z użyciem nóg, zwanej Tae Kyon. Dziś nauka sztuki walki w sekcjach wygląda w ten sposób,

że z instruktorem ćwiczy grupa licząca 12-16 osób. Wtedy była to nauka tylko ucznia z mistrzem. W 1937 roku rodzice wysłali go na studia na uniwersytecie w Tokio. W Japonii zaczął uczyć się karate, osiągając wysoki stopień umiejętności – II dan. Po przystąpieniu Japonii do wojny został wcielony do wojska a następnie osadzony w więzieniu z wyrokiem śmierci za organizowanie ruchu niepodległościowego. Od wykonania wyroku uratowało go zakończenie wojny.

Z jego pobylem w więzieniu wiąże się pewna anegdota...

W więzieniu cały czas trenował. Początkowo z kolegą z celi, później całe więzienie było jedną dużą salą treningową. Za jego sprawą trenowali wszyscy - więźniowie i strażnicy. Po wyzwoleniu wrócił do Korei. Szybko awansował do stopnia generała i był jednym z twórców armii południowokoreańskiej. Wpadł wtedy na pomysł by na bazie karate i Taek Kyon stworzyć własny styl, który będzie bardziej skuteczny, nowoczesny i przede wszystkim bardziej zdrowy. Nie sztuka być zdrowym jak się ma 20 lat, sztuką jest być zdrowym jak się ma lat 80. Korzystając ze swojej

pozycji zatrudnił ludzi, którzy specjalizowali się w medycynie, w biochemii, w biomechanice, aby wymyślić coś, co będzie zgodne z naturalną fizjologią ruchu człowieka. Efektem tych prac były stworzone w 1955 roku podstawy Taekwon-Do. Myśląc jak rozprzestrzenić Taekwon-Do na świecie, generał Choi zorganizował liczącą dwanaście osób grupę pokazową i zaczął z nią objeżdżać inne kraje. Jeden z takich pokazów był nawet w Polsce, zorganizował go w 1978 roku dyrektor Teatru STU Krzysztof Jasiński.

Miał pan okazję spotkać generała Choi?

Do Polski przyjeżdżali swego czasu różni koreańscy instruktorzy, ale to co pokazywali często się różniło. Próbowaliśmy się posiłkować „Encyklopedią Taekwon-Do”, ale to nie było to. Wreszcie, to był chyba 1990 lub 1991 rok, jako związek podjęliśmy decyzję, że skoro twórcą Taekwon-Do jest generał Choi, to poprosimy go by był naszym nauczycielem. Tak z głupia frant. My zapomniani przez świat, z za „żelaznej kurtyny” napiszemy bezpośrednio do twórcy Taekwon-Do. I rzeczywiście, napisaliśmy do niego list, z zapytaniem czy zechce być naszym mistrzem i czy się zgodzi poprowadzić seminarium. List był taki trochę patetyczny. Generał Choi, to był twórca Taekwon-Do, szanowany na całym świecie, jeżeli chodzi o Koree Południową był drugą osobą w państwie. Pisaliśmy, że czujemy się jego dziećmi, uważamy go za naszego ojca, tak w stylu wschodnim. Żeby napisać ten

list poprosiliśmy o pomoc faceta z ambasady. Generał odpisał, że się zgadza i pierwsze seminarium z jego udziałem zrobiliśmy w 1993 roku. Przyleciał do Polski, do Lublina, mieszkał w hotelu Unia. Było 60 instruktorów z Polski i zaczął nas uczyć. Wywrócił do góry nogami wszystko, co do tej pory wiedzieliśmy o Taekwon-Do. Trzy dni z nim to było jak dwa lata z innymi instruktorami. Był bardzo konkretny, koncentrował się na jednej rzeczy. Stara dalekowschodnia szkoła. Nie przechodził do kolejnych elementów, póki wszyscy nie opanowali poprzedniego. Takie regularne wizyty odbywały się do 1999 roku a dodatkowo każdego roku grupa instruktorów wyjeżdżała na spotkania z generałem organizowane w innych państwach. W ten sposób czerpaliśmy wiedzę naprawdę u źródła.

Jakim był człowiekiem?

Gdy zaczynał uczyć, czas przestawał istnieć. Nauczanie było jego pasją. Był bardzo dokładny. Jeżeli ktoś wykazywał zainteresowanie Taekwon-Do mógł mu oddać swój czas by wszystko wytłumaczyć, dlaczego tak a nie inaczej. Podobało mu się to, co robimy z Taekwon-Do w Polsce. Byliśmy pierwszym krajem, który ćwiczył ostatni z dwudziestu czterech układów, byliśmy bezwzględnym liderem. Polskę ponadto kojarzył z jabłkami. To była dla niego stolica jabłek. Mówił, że na zachodzie są tylko dwa rodzaje jabłek: czerwone i zielone. Wszystkie bez smaku. U nas widząc przy drodze sprzedawców jabłek,

FOTO: Generał Choi (siedzi po prawej), Tadeusz Łoboda (drugi z lewej), 2002 r., z archiwum PZTKD.





potrafił zatrzymać samochód i kupić wszystkie ich rodzaje. Odnajdywał w nich smaki... z dzieciństwa spędzonego w Korei. Uwielbiał też polskie zupy. Flaki i żurek to była podstawa. Lubił też polską wódkę.

Skąd Taekwon-Do w Polsce?

W latach siedemdziesiątych Taekwon-Do było już znane na zachodzie Europy, w RFN, Anglii, w Szwecji. Pierwsza sekcja w Polsce powstała w czerwcu 1974 roku w Lublinie. Zajęcia prowadził Anglik, Andrew Marshall, posiadacz zielonego pasa, który początkowo przychodził na treningi lubelskich judoków. Ćwiczył razem z nimi, a po treningu przekazywał swoje umiejętności. Zielony pas to stopień uczniowski w Taekwon-Do, ale wtedy to robiło wrażenie. Po niespełna roku Marshall musiał ze względów osobistych wyjechać z Polski. Ćwiczący w tej pierwszej grupie Jerzy Skwira przez prywatne kontakty nawiązał znajomość z rodakiem Marshalla Peterem Prykiem posiadaczem 1 dana, który prowadził zajęcia. Pryke pracował na UMCS, jako pracownik naukowy. Uczył angielskiego, jako native speaker i jednocześnie był informatykiem. I w tym miejscu zaczyna się wątek szpiegowski. W tym czasie na UMCS wymyślono światłowody. Nie miały zastosowania przemysłowego. Robiono z nich... ozdoby w kształcie jeży. Stawiało się je na telewizorze marki Neptun czy Rubin a one zmieniały kolory. Mówię o tym, bo nagle Pryke napisał w pracy podanie, że ma poważnie chore

to da znać i... kontakt znów się urwał. Zostały może ze trzy stare zdjęcia. Nigdy nie mieliśmy szansy zadać my pytania, czy to on wywiózł te światłowody. Niemniej jednak w czasie, gdy pracował na UMCS założył swoją sekcję Taekwon-Do i w tej grupie miałem okazję trenować. To był ostatni rok tej sekcji. Nawet żółty pas od niego dostałem.

Jak dowiedział się pan o prowadzonych przez niego treningach?

W klubie osiedlowym wisiła zwykła kartka, że są zapisy na koreańskie karate. Nie wolno było wtedy używać słowa Taekwon-Do, bo Korea Południowa nie była w bloku państw komunistycznych. Samo Taekwon-Do było zaś uważane za imperialistyczny wymysł. Pochodzące z Japonii karate było neutralne.

Dlaczego chciał pan uprawiać karate?

W siódmej czy ósmej klasie pojechałem na kolonię. Był tam taki kolega, który mi ciągle dokuczał. W końcu wyzwiałem go na pojedynek, na „solo”. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, ja się w ogóle nie biłem. Drugi kolega, powiedział mi „Słuchaj mam takie wycinki z „Żołnierza Polskiego” tam są chwytty ju-jitsu. Dwa czy trzy. Pójdziemy do lasu, jak nauczymy się tych chwytów, to pójdiesz z nim na solo”. I tak ćwiczyliśmy te chwytty z gazety. Chłopak, który mi dokuczał był bokserem i ćwiczył już trzy lata. Zebrała się cała kolonia i my we dwóch. Koniec końców wróciłem z podbitym okiem. Wraz z trzema kolegami

dziecko i ze względu na jego leczenie musi wyjechać z Polski. Wyjechał a prawdopodobnie z nim, te światłowody. Niedługo potem Japonia i Anglia zastrzegły patentem światłowody oparte na polskiej technologii, a wszystkich, którzy trenowali w sekcji odwiedził pan milicjant rozpytując o Pryke.

Wyjechał i kontakt się urwał?

Wiele lat później była próba kontaktu mailowego. Odpisał, że jak będzie w Polsce

FOTO: Tadeusz Łoboda, Hong Chol Song, 1983 r., z archiwum PZTKD.

z kolonii powzięliśmy postanowienie, że wracamy i zapisujemy się na judo. Niestety trener nie przyjął mnie mówiąc, że mając czternaści lat jestem za stary. Przez trzy miesiące przychodziłem na to judo, na każdy trening i siedziałem na ławce, patrzyłem jak ćwiczą. Wreszcie w październiku, Waldek, mój przyjaciel z klasy mówi, słuchaj na naszym osiedlu jest ogłoszenie o koreańskim karate. Przyszliśmy, a tam 350 osób. Cena 150 złotych za miesiąc. I to już mnie zmroziło.

Nie miał pan tych pieniędzy...

Nie miałem, to nie były czasy, gdy dostawałeś kieszonkowe. Klub osiedlowy był na ul. Koryzonowej. Jak tam wchodziło 350 osób? Nie wiem. Nie mogłem się z nimi uczyć, patrzyłem przez okno. Kolega, który tam się dostał, ćwiczył ze mną jeszcze dwie godziny po treningu. Tak więc we wrześniu nie dostałem się na judo bo byłem za stary, w październiku na Taekwon-Do bo nie miałem pieniędzy. Przez ten czas bardzo się jednak uaktywniłem. Zbierałem makulaturę, zbierałem butelki. Gdy zebrałem pieniądze zapisałem się na treningi w szkole nr 11 na Przyjaźni. Były dwie grupy, więc żeby nadrobić stracony czas zostawałem też na drugą grupę.



FOTO: Mistrz i Małgorzata. Tadeusz Łoboda z żoną Małgorzata, z archiwum PZTKD.

Może dlatego Polacy są najlepsi, bo gdzie indziej nikt nie musiał zbierać butelek, by móc trenować?

Być może, ale tak naprawdę, to zupełnie inna historia. W 1990 roku pojechaliśmy na zgrupowanie do Centralnego Ośrodka Sportu (COS) w Zakopanem. Trenerem byłem ja i Jurek Jedut – dziś jeden z najgenialniejszych trenerów, rozpoznawalny na całym świecie. Pamiętam, pierwszego dnia mieliśmy traumatyczne spotkanie z nieznanym facetem w restauracji. Przepytałem nas, skąd jesteście, gdzie się uczymy, co trenujemy, ile jesteście na zgrupowaniu. Jak usłyszał, że jesteście na zgrupowaniu dwanaście dni, to myślałem, że się udławi ze śmiechu. Pytał co mamy zamiar w dwanaście dni wyćwiczyć – siłę, wytrzymałość czy szybkość, a żadnego z tych elementów w tak krótkim czasie wyćwiczyć się nie da. Nie wiedzieliśmy zupełnie, kto to jest. Nie było wtedy jeszcze internetu. Poszliśmy do portierki w COSie a ona mówi „Nie wiecie? To Ryszard Zieniawa trener polskich judoków”. Dla wyjaśnienia, Ryszard Zieniawa to żywa historia polskiego judo, trener medalistów olimpijskich. Dla judo jest kimś takim jak Kazimierz Górski dla piłki nożnej czy Feliks Stamm dla boks. Następnego dnia zjawił się na naszym treningu. Pomyśleliśmy „O nie, tylko nie on”, a on podchodzi do nas i mówi „Dobra panowie, nie znamy się, ale rozbawiliście mnie. Widziałem, że robicie skłony na mięśnie brzucha. Ile takich skłonów robicie?”. Mieliśmy wtedy taki schemat treningowy robiąc po 100 skłonów. To był taki treningi - można dziś powiedzieć – bezrozumny. Odtwarzaliśmy rzeczy, które gdzieś widzieliśmy. On mówi „No dobrze, robisz sto „brzuszków”. A zrobisz dwieście?”. Powiedział to tak sarkastycznie, a my nie rozumieliśmy o co mu chodzi. Nasz zawodnik mówi „Zrobię”. Wtedy Zieniawa zapytał „A pięćset?”. Tak licytowali do tysiąca, a wreszcie on uciął „Ale, po co? To wy macie mistrzostwa świata w robieniu tych „brzuszków”? Do czego wam te „brzuszkki”?”. Odpowiedzieliśmy, że wzmacniamy mięśnie by chronić jamę brzuszną, a on mówi „Wy w ogóle wiecie, jakie mięśnie pracują, gdy robicie te skłony? Grzbietu i gruszkowaty, który pogłębia wam lordozę”. Poszliśmy więc do lekarza w COSie i pytamy „Panie doktorze, nie wie pan gdzie jest mięsień gruszkowaty?”. A lekarz mówi „Tak, tam z tyłu. Nie wolno tego mięśnia

za bardzo rozwijać. Widzieliście gimnastyczki, mają takie tyłozgięcie – to dlatego, że rozwinęły ten mięsień.” Zieniawa tymi sarkastycznymi pytaniami tak nas denerwował, że siadaliśmy, robiliśmy burzę mózgow. Wreszcie poprosiliśmy go o pomoc. Zgodził się, pokazał jak ćwiczyć, jak zwiększać obciążenia. I tak zaczęliśmy z nim rozmawiać o metodyce treningu, o szybkości, o kontroli dystansu, o tym jak się analizuje walkę. Codziennie przez 12 dni siadaliśmy z nim o dwudziestej, po kolacji i rozmawialiśmy do trzeciej, czwartej nad ranem. Mieliśmy wrażenie, że przez te dni przekazał nam więcej wiedzy, niż dostaliśmy przez całe studia na AWFie.

Zrozumieliście w jakim jesteście miejscu..

Wróciliśmy do domu i powiedzieliśmy sobie - musimy coś zrobić. Trener Zieniawa nam powiedział „Wybierzcie najlepszych zawodników na świecie, nagrajcie ich walki i zacznijcie je analizować, liczyć. Analizujcie stałe fragmenty walki, ilość technik, ich rodzaje, to które są skuteczne, punktowane. A później porównajcie do swoich najlepszych zawodników”. Nie mieliśmy żadnej kamery, ale w końcu pożyczaliśmy taką dużą przemysłową i pojechaliśmy z nią na mistrzostwa świata. Okazało się, że nasi zawodnicy wykonują techniki, które nigdy nie dały żadnego punktu, że zupełnie inaczej niż najlepsi poruszamy się po macie. Na bazie tej analizy wypracowaliśmy własny styl. Zaczęliśmy od nauki poruszania się, kontroli dystansu, uników i kontrowania. To okazało się skuteczne, irytowało, męczyło przeciwnika. Taką przygotowaną przez Jurka drużynę juniorów wystawiliśmy w 1991 roku na mistrzostwach Polski. Wyszli na matę i wygrali z seniorami. Tamci nie wiedzieli co się dzieje. W związku z tym, że wygrali mistrzostwa Polski, ci sami juniorzy pojechali na mistrzostwa świata i zaczęli wygrywać.

Potem przyszedł pierwszy puchar...

Nikt nas poważnie nie traktował. Nikt o nas nie słyszał. Rodzice szyli nam stroje z płótna żaglowego. Kolega, który był po liceum plastycznym wycinał szablon i gąbką namoczoną w farbie odciskał na nich napis Taekwon-Do. Pojechaliśmy w 1991 roku na zawody do Reading w Anglii. Nie było nas stać na hotel, wybraliśmy najtańszy, spaliliśmy w poprzek czterech na jednym łóżku. Pokój kosztował około 40 dolarów, co znaczyło, że aby móc się zakwaterować trzeba było

przeznaczyć na to dwie nauczycielskie pensje. Mieliśmy brzydkie stroje, nie mieliśmy rękawic i butów. Komplet rękawic i butów kosztował 50 dolarów, a 50 dolarów to była dla nas suma niewyobrażalna. Jeden zestaw użyczył nam kolega z Węgier. Wymieniając się tym jednym kompletem sprzętu między sobą (dziewczyny z chłopakami, nie patrząc na rozmiar)... wygraliśmy VI Mistrzostwa Europy w Taekwon-Do. Wszyscy byli w szoku – przyjechali jacyś oberwańcy i zwyciężyli. Po raz pierwszy wygraliśmy klasyfikację drużynową i od tamtej pory, od 26 lat nie przegraliśmy jej ani razu.

Nauka Taekwon-Do to zdobywanie kolejnych stopni wtajemniczenia.

Jest dziesięć stopni uczniowskich. Oznacza się je kolorami pasów, z którymi związana jest szczególnie symbolika. Zaczyna się od białego pasa, który oznacza niewiedzę, niewinność. Potem jest żółty, zielony, niebieski skończywszy na czerwonym. Pas czarny oznaczający pełną biegłość, dojrzałość przypisany jest do stopni mistrzowskich, których jest dziewięć. Stopnie mistrzowskie podzielone są na trzy etapy: pierwszy z nich to Boosabum od pierwszego do trzeciego dan. To asystent, ktoś kto ma już pewną biegłość, ale ciągle się uczy. Od czwartego do szóstego dana to Sabum - nauczyciel, czyli osoba, która nie tylko ma umiejętności, ale jej obowiązkiem jest przekazywanie wiedzy kolejnym pokoleniom. Siódmy i ósmy dan to stopnie mistrzowskie. Najwyższy dziewiąty dostaje się za zasługi w rozwój Taekwon-Do. Na świecie około 20 osób uzyskało 9 dan.

W Polsce jest taka osoba?

Nie, w Polsce cztery osoby ma 8 dan. To jest Jerzy Jedut z Lubartowa, Zbigniew Bujak z Białej Podlaskiej, Janusz Gutkowski z Warszawy i ja. Osób z 7 dan jest pięć. W sumie dziewięć stopni mistrzowskich, ale dziewiątego w Polsce nie mamy. Między innymi dlatego, że warunkiem jego otrzymania jest ukończenie 60 roku życia.

Ile osób uprawia w Polsce Taekwon-Do?

Z liczbą 15 000 zawodników plasujemy się w pierwszej dziesiątce najchętniej uprawianych sportów. Co ciekawe najliczniej uprawianym w Polsce sportem jest wędkarstwo - jest ponad milion zarejestrowanych wędkarzy, dopiero na drugim miejscu jest piłka nożna. Co trzeci ćwiczący to kobieta. Pod tym względem ustępujemy tylko gimnastyce. Kluby Taekwon-Do

funkcjonują w 134 miejscowościach w Polsce.

Jak wygląda możliwość trenowania w Lublinie?

Lubelski Sportowy Klub Taekwon-Do wynajmuje pięć sal treningowych w głównych dzielnicach Lublina i jedną salę w Świdniku. Prowadzimy zajęcia dla wszystkich grup wiekowych, jest więc szansa by rozpocząć przygodę z Taekwon-Do od przedszkolaka i trenując sięgnąć po tytuł mistrza świata. To nie żart, Polacy 21 razy sięgali po tytuł indywidualnych mistrzów globu. Z Lublina pochodzi dwoje mistrzów. Rafał Gozdalski nie trenuje już Taekwon-Do, ale naszym instruktorem jest Joanna Lipa. Z małymi adeptami pracują też Małgorzata Rogaczewska dziesięciokrotna mistrzyni Europy. Przez lata zrobiliśmy olbrzymią ewolucję, jeżeli chodzi o metodykę. Nasze treningi staramy się łączyć z wychowaniem. Wszyscy nasi instruktorzy są wykształceni, po studiach, mają ukończone specjalistyczne szkolenia i kursy. Często to jednocześnie pedagogzy. Prowadzone przez nich

treningi są przyjazne, jest w nich dużo zabawy, współdziałania w grupie, ćwiczeń poprawiających sprawność i koordynację. Warto się o tym samemu przekonać. Zapraszam.

Porozmawiajmy o przyszłości...

Kiedyś zadano nam pytanie, co będzie z Taekwon-Do za 50 lat. Myśleliśmy nad tym i powiedzieliśmy sobie – kształtujmy dobrych ludzi, niezależnie co się stanie. Dobrych ludzi są zawsze potrzebni. Dobrych, zdrowych ludzi, którzy będą mieli satysfakcję a Taekwon-Do będzie odciążeniem od codzienności, stresów czy kłopotów. Grzeczność to pierwsza zasada Taekwon-Do. Po kolei grzeczność, uczciwość, wytrwałość, samokontrola i odwaga. Pięć elementów, które powodują, że osoba ćwicząca powinna być dobrym człowiekiem. Uniwersalne zasady - być koleżeńskim, miłym dla drugiej osoby. Kontakty, przyjaźnie, które się rodzą w związku z Taekwon-Do są trwalsze niż te ze szkoły.

Tadeusz Łoboda

Prawdziwy pasjonat, posiadacz VIII dan w Taekwon-Do, Prezydent Europejskiej Federacji Taekwon-Do - jedynej międzynarodowej organizacji sportowej o zasięgu kontynentalnym, która ma swoją siedzibę w Polsce, w Lublinie (pełni tę funkcję nieprzerwanie od 2004 roku); członek Prezydium Zarządu Międzynarodowej Federacji Taekwon-Do (ITF), wiceprezes ds. organizacyjno-szkoleniowych Polskiego Związku Taekwon-Do (inicjator założenia oraz wieloletni jego prezes w latach 1991-2015), Prezes Lubelskiego Sportowego Klubu Taekwon-Do.



FOTO: Kurs instruktorski - 2016 r., z archiwum PZTKD.

Uwrażliwianie

Nie sięga po wyszukane metafory, po ozdobniki, nie popisuje się erudycją.

ADAM PRYZSTUPA

Mówią żartobliwie, że to sprawa wieku. Moc wrażeń, które przez lata zagnieżdżyły się pod czupryną budują dość jasne skojarzenia. Jeśli wychowasz się na „Podróży za jeden uśmiech”, już zawsze będziesz kojarzyć Filipa Łobodzińskiego z postacią „Dudusia” Fąferskiego. To nic, że czytałeś tłumaczoną przez niego z hiszpańskiego prozę. To nic, że oglądałeś prowadzone przez niego „Wiadomości”. „Duduś” ma szansę po wsze czasy pozostać „Dudusiem” chyba, że... odkryje przed światem swoją fascynację Bobem Dylanem.

Nie będę zmyślał. Dylana traktowałem z szacunkiem, ale nie zagłębiając się w jego twórczość rozmijałem się z krytykami. Słuchałem ewangelizujące „Slow Train Coming” ze względu na gitarowe popisy Marka Knopflera, oni odrzucali tę płytę dla zasady, właśnie ze względu na przekaz. Dopiero zbiór autorskich tłumaczeń wydany przez Filipa Łobodzińskiego pod tytułem „Duszny kraj” sprawił, że mocniej pochyliłem się nad piosenkami Roberta Zimmermana. Odnalazłem wśród nich „Black Diamond Bay”, czy jak chce tłumacz „Port Czarnych Łez” – inspirowaną powieścią „Zwycięstwo” Josepha Conrada (fotografia Józef Korzeniowski znalazła się na okładce płyty „Desire”) opowieść o kataklizmie, jaki dotknął tropikalną wyspę i niczego niespodziewających się jej mieszkańców. Ich tragedia w ostatniej zwrotce piosenki zostaje sprowadzona do krótkiej, przeinaczonej zresztą, informacji w telewizyjnych wiadomościach. Wieści, która spowszedniała i nie jest warta uwagi. Wieści z dalekiego świata, która telewidza skłania do wyłączenia odbiornika i refleksji, iż media zwykły karmić go cudzymi tragediami, co jedynie pogarsza samopoczucie.

Owa gorzka ironia w ostatnich wersach piosenki Dylana kazała mi wrócić do zupełnie innej płyty. Zderzając nieszczęście swych bohaterów, z instrumentalnym traktowaniem ich przez goniące za sensacją media i obojętnością widza, nowojorski bard przyjął zwykłą dla niego rolę obserwatora. Postawę tak chłodną, że jeśli ironia miała służyć uwrażliwieniu słuchacza, zbladła wobec fabularnej finezji pierwszych zwrotek. Wróciłem tedy do innej płyty, której autor – wiem, może dla wielu będzie to obrazoburcze – stając przed tym samym dylematem lepiej zdaje egzamin. Uwrażliwia.

Dziewiętnasta trzydzieści, czas zwykłej rozmowy z telewizorem. Pora, o której od ponad pół wieku nadawany jest wieczorny program informacyjny. „19:30” – tytuł zbioru dziewięciu sercem pisanych reportaży Przemysława Bogusza. Pisząc „reportaży” nie deprecjonuję poetyckich zdolności mojego rówieśnika. Przeciwnie, jasność strof pisanych przez otwoczanina bliska jest memu pojmowaniu poezji, dalekiej od piętrowej gry znaczeń, zapętlenia metafor, których nie sposób odczytać. Przemysław Bogusz przyznaje się do fascynacji twórczością Jacka Kaczmarskiego, ale pisze inaczej. Znać w tych strofach sznyt dziennikarza. Nie sięga po wyszukane metafory, po ozdobniki, nie popisuje się erudycją. Trafia do słuchacza ciekawie opowiedzianą historią i... rozpala iskrę ciekawości, czy też teksty, które pisał niegdyś do „Życia Warszawy” czy „Rzeczpospolitej”, a których nie miałem okazji przeczytać, też tak głęboko zachodzą pod skórę, w duszy żłobią pytania.

Pierwszą piosenką, jaką miałem okazję wysłuchać, jeszcze przed zakupieniem płyty, był „Irak”:

„Honkera silnik wyje
pod ciężarem blach
Radio przerywa wciąż i gubi
gdzieś rozkazy
Klima nie działa,
grzeje się blaszany dach
Na rozpoznanie wyjeżdżamy
rano z bazy”



Bynajmniej, to nie kolejny przyczynek do chwały polskiego oręza, choć oglądając „Karbale” zastanawiałem się, dlaczego autorzy filmu nie sięgnęli po tę piosenkę. To raczej studium ciężkiej codziennej pracy, balansowania na granicy własnej psychiki i tęsknoty, przede wszystkim tęsknoty za najbliższymi („Po niebie chmury goni dziś szyicki wiatr / Zamykam oczy, jak oazę widzę – Kielce”, „W dzielnicy pod kontrolą milicji as Sadra / Kobieta w czerni patrzy Twoimi oczami”). To zapowiedź ceny, jaką w wielu przypadkach przyszło płacić chłopakom niepotrafiącym się odnaleźć po powrocie do domu:

„Jak w krótkim mailu
zmieścić tyle długich dni
Dziękuję za to, że nie pytasz
się co u mnie
Nie chcę Ci pisać, co na
jawie mi się śni

Kiedy przez miasto
w samobieźnej jadę trumnie”

Nie znam nikogo kto wrócił z misji w Iraku, czy Afganistanie, ale widziałem człowieka, który pozrywał paznokcie próbując skryć się pod łóżkiem przed własnymi snami. Snami, które tkwały jego wspomnienia.

Jakie sny mają ci, którzy pamiętają tragedię Srebrenicy? Otwierająca płytę piosenka nawiązuje do masowych mordów dokonanych przez siły serbskie generała Ratko Mladića na bośniackich mieszkańcach miasta w lipcu 1995 roku. Jeśli skala zbrodni przestaje poruszać stępione doświadczeniem XX stulecia sumienia, być może sposobem jest opowiedzenie historii pojedynczych ofiar. Każda strofa stopniuje napięcie. Młodu Bośniak wydany przez holenderski kontyngent wojsk ONZ serbskim żołnierzom, zrazu nie przeczuwając tego, co ma nadejść, rozpoznaje wśród nich swego przyjaciela („Jak dobrze Cię widzieć Duszane, stary druhu! / Napędzili nas strachu twoi nowi kumple / Gdy ładowali nas na starą ciężarówkę”). A potem... a potem z wolna zaczyna do niego docierać, co stanie się za chwilę („Nic nie mówisz Duszane, brzęczą w słońcu muchy / I krępujące nagle zapada milczenie / Cicha modlitwa pada w rozkopaną ziemię”). Całość dopełnia przejmujący refren sięgający dziecięcych wspomnień:

„Za plecami mam boisko,
szkołę, skwer
A przed sobą przyjaciela
oczy czarne
Skoro musisz już to zrobić,
zrób to fair
Tak bezbłędnie, jak
egzekwowałeś karne!”

Zerwana w pół nuta „Srebrenicy” zapada w ciszę. Chwila oddechu przed spojrzeniem na wchód. „Koronacja” to rzecz o Rosji przelotnie wieków, o imperialnych resentymencie, z których brutalnymi konsekwencjami przychodzi zderzać się zwykłym ludziom. Jest w niej

zaskakująca perspektywa, podobna do tej, z której korzystał swego czasu Andrzej Kołakowski śpiewając w „Balladzie frontowej” ustami szeregowego czerwonarmisty – „Nie anioły my, ani zwierzęta / Nie szatany my, ani bogowie / Tylko małe niezdarne pisklęta / Którym świat wylądował na głowie..”. W „Koronacji” kadry z Kremla, przeplatane są opowieściami, dla których osnową są popularne rosyjskie pieśni. Pierwsza z nich, to „Ratujcie nasze dusze” Włodzimierza Wysockiego. Alegoria losu rosyjskich dysydentów urzeczywistnia się w okrutny sposób w tragedii podwodnego okrętu atomowego „Kursk”, który w wyniku wybuchu 12 sierpnia 2000 roku osiadł z 118-osobową załogą na dnie Morza Barentsa („Спасите наши души! / To „Kursk”, to „Kursk” się dusi! / Nasz S.O.S. poruszy / Opłynie świat!”). Niczym w starej pieśni, dwudziestu ośmiu ocalałych daremnie czekało ratunku. Daremnie, bo władze na Kremlu początkowo odrzuciły ofertę pomocy Brytyjczyków, Norwegów i Amerykanów. Kiedy wreszcie po pięciu dniach pozwolono podejść do „Kurska” Norwegom, znaleźli w jego wnętrzu ciała marynarzy i spisana przez kapitana Dimitrija Kolesnikowa na skrawku papieru wiadomość „Jest zbyt ciemno, ale spróbuję pisać po omacku. Chyba nie ma szans, 10-20 procent. Mamy nadzieję, że ktoś to jednak przeczyta”.

Po chwili mieszkanie w Astrachaniu, w którym matka opłakuje poległego na „Kursku” syna ustępuje miejsca moskiewskiej kawalerce. Tam słuchając „Obławy” Wysockiego stępa alkoholem swe zmysły uczestnik akcji w teatrze na Dubrowce:

„Czy to ratunek jest,
czy odsiecz, czy obława?
Co zamknę oczy,
to Dubrowka mi się śni
Z terrorystami zabronili
nam rozmawiać
Zakładnikami nie przejmował
się tam nikt

Nad ranem nasi chłopcy
z ALFY gaz wpuścili

Świat wstrzymał oddech,
a on zrobił to, co chciał
Z żołnierzy w katów
nas przemienił w jednej chwili
Autobusami odjeżdżały
stosy ciał”

Zaiste, jest o czym śnić, jest o czym pamiętać. W wyniku akcji służb specjalnych 26 października 2002 roku zginęli nie tylko członkowie czeczeńskiego komanda Mowsara Barajewa, ale również 129 otrutych gazem usypiającym zakładników.

Zapomniana dziś wojna w Czeczenii, której zakończenia żądano kładąc na szali życie zakładników na Dubrowce, powraca w ostatniej zwrotce „Koronacji”. Saszka, co „Żyje bo dobrych ma sąsiadów / Za to, niestety, nie ma nóg / I rozum wziął mu dobry Bóg” śpiewa na petersburskim podwórku „Białe rozy” – szlagier zabaw i dyskotek, który towarzyszył mu, gdy w sylwestrowy wieczór 1994 wkraczał do broniącej się czeczeńskiej stolicy. W pierwszym ataku wśród zgłiszczy Groznego Rosjanie pozostawili blisko dwieście wozów bojowych i około tysiąca żołnierzy. W kolejnych, „pogromcy ruin, wymartych zgłiszczy” zrównali miasto z ziemią.

Przypominam te miejsca, te daty, bo w medialnej nawale fakty żyją bardzo krótko. Bywa, że nie zdołają nawet osadzić się w pamięci. Kto z nas pamięta Petrę Prochazkową, czeską dziennikarkę, korespondentkę wojenną, która w zniszczonym przez Rosjan Groznych zorganizowała dom opieki dla sierot? Tęsknie melodyjna „Petra Prochazkova” Przemysława Bogusza to refleksje po lekturze jej książki „Ani życie, ani wojna” i echo przymusowego wydalenia z terenów kontrolowanych przez Rosjan:

„W trzech językach wołają
Cię przez sen
Gdy się obudzą, nauczone,
tłumią płacz
Wyjechałaś, nie wróciłaś,
tyle wiem

A nad Pragę, podawali,
dzisiaj mgła”

Intrygujące, że pisząc o dramacie wojny czeczeńskiej („Na tej spalonej ziemi nic ma nie pozostać / Prócz ludzi-zwierząt, co nie wierzą w inny świat”) poeta, który tłumaczył pieśni i wiersze walczącego ówczesnie na Kaukazie Timura Murcajewa nie sięga po frontowych bohaterów. Jakby pamiętał spisane przed stu laty słowa piosenki Eugeniusza Małaszewskiego, jakby chciał jeszcze raz nam przypomnieć, iż „nie jest tak na wojnie, jak jest w żołnierskim śpiewie”. Dlatego wśród innych piosenek, w „Białej pani” pojawią się dwunastoletni żołnierze z Sierra Leone a płytę zamyka „Ostatnia korespondencja” – rzecz o śmierci reportera telewizji polskiej Waldemara Milewicza i jego operatora Mounira „Mundka” Bouamrane 7 maja 2004 roku na drodze z Bagdadu do Karbali. Chciałem napisać, iż ta piosenka spina całą płytę swoistą „iracką klamrą”, ale jest w tym coś więcej. Raz, że Milewicz, jako korespondent wieczornych „Wiadomości” był z kamerą w tych wszystkich miejscach, w Bośni, w Groznych, w Afryce, Iraku. Dwa, że jak wspominał w jednym z wywiadów autor piosenki, Milewicz był dla niego autorytetem „Potrafił zrobić to, co ja próbuję zrobić w piosenkach, czyli przekazać istotę dramatu ludzi, z którymi rozmawiał i u których gościł”. Po trzecie wreszcie, pamiętam ową ironię losu, ów diabelski chichot, kiedy jego śmierć miast uwrażliwić, instrumentalnie wykorzystana posłużyła stępieniu naszych zmysłów – jeden z poczytnych tabloidów na okładce opublikował zdjęcie zastrzelonego dziennikarza. Myślę o tym i jeszcze raz słucham ostatnich taktów piosenki:

„Zaciśnij zęby, patrz i kręć!
Z tej perspektywy nikt
nie robił jeszcze zdjęć
Zaciśnij zęby, Mounir, kręć!
Nikt tak nie robił
jeszcze zdjęć
Kamerę rzuć, uciekaj stąd!
Od pasm, ramówek

i od pustej ciekawości...
- Z nieba pełnego
ziemskich żądź -
Waldemar Milewicz,
Wiadomości.”

Uwrażliwianie, to przecież walka z ową pustą ciekawością. O niej też znajdziemy piosenkę. „O lekarzu, który nikogo nie leczył” nawiązując do poczytnych Gunthera von Hagens, (urodzony we wcielonych do III Rzeszy Skalimierzycach, syn SS-mana) niemieckiego lekarza patomorfologa, który w 1977 roku opracował metodę palstynacji - preparowania ludzkich zwłok tak by zachowały kształt i kolor. Miała ona służyć sporządzaniu wykorzystywanych w medycynie modeli anatomicznych, ale od lat stanowi również źródło dochodów w postaci obwoźnej wystawy zatytułowanej Body Worlds. Sprowadzone do postaci przedmiotów ciała zmarłych, ciała pozbawione skóry, imion, intymności, oglądane są przez miliony zwiedzających. Ustawione w pozach naśladujących czynności, które być może wykonywali nim wydali ostatnie tchnienie. W 2015 roku owa wystawa roszcząca sobie prawo do miana sztuki gościła we Wrocławiu w... galerii handlowej. Podobnie było dwa lata później w Poznaniu. Ciekawość zaspokajana w pół drogi między zakupami a w pośpiechu spożywanym posiłkiem. Przewrotna, bo niepostrzeżenie stępiająca zmysły pod hasłem poznania. Świat, który ucieka od doświadczenia starości i śmierci najbliższych. Śmierć, która zaburza obraz świata. Odarta więc z majestatu, sprowadzona do czystej biologii. Zapada w pamięć puenta piosenki:

„I licząc gości na wystawie
Po cichu bawię się marzeniem
Że przyjdzie czas i was oprawię
Z tą ciekawością i zgorszeniem”

Za mocne? Uwrażliwiać mogą pewnie i piosenki o miłości, ale te póki co piszą inni. Przemek Bogusz pisze o tym, co go porusza.

LUBELSKIE HISTORIE MAGDALENA PIWOWARSKA

ZAPOMNIANY DOKTOR

Listy doktora Karola Zagórskiego w zbiorach
Muzeum Historii Miasta Lublina – Oddział Muzeum Lubelskiego.

Muzeum Historii Miasta Lublina do swoich głównych zadań zalicza gromadzenie zbiorów z przeszłości miasta. Wśród nich szczególne miejsce zajmują pamiątki po znanych lublinianach. Na początku lat 80. XX wieku do Muzeum trafił dar zespołu pamiątek po doktorze Karolu Zagórskim, wybitnym chirurgu, naczelnym lekarzu szpitala św. Wincentego á Paulo w Lublinie w latach 1890–1898. Zbiór ten jest niezwykle cenny uzupełnia skromne materiały źródłowe jakie zachowały się po tym lekarzu w archiwach i bibliotekach polskich.

Doktor Karol Zagórski (1851-1898).

*Fotografia ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki
Publicznej im. H. Łopacińskiego*

Karol Zagórski urodził się w Lityniu, na Ukrainie 27 stycznia 1851 roku. Był synem Jana Zagórskiego i Gabrieli z Poradowskich. Matka Zagórskiego była prawnuczką Stanisława Augusta Poniatowskiego i Elżbiety Grabowskiej. Po ukończeniu lubelskiego gimnazjum w 1867 roku Zagórski rozpoczął studia lekarskie w Szkole Głównej w Warszawie. 8 czerwca 1873 roku uzyskał dyplom lekarza na Uniwersytecie Warszawskim. Praktykę lekarską rozpoczął w Kurowie pod Lublinem. W 1875 roku, dla pogłębienia wiedzy, wyruszył na dwuletnie studia za granicą. Studiował, m. in. w klinikach Paryża, Wiednia i Berlina. Po powrocie do kraju, w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, w latach 1877-1878 został powołany do wojska i pracował na oddziale chirurgicznym lubelskiego szpitala wojskowego Rosyjskiego Czerwonego Krzyża. W 1879 roku został lekarzem 33. Batalionu Rezerwowego



stacjonującego w Lublinie i ponownie odkomenderowany do lubelskiego szpitala wojskowego pracował na stanowisku asystenta oddziału chirurgicznego. Po roku, w styczniu 1880 roku, zwolnił się ze służby wojskowej i objął stanowisko lekarza powiatu lubelskiego, które piastował do roku 1884.

Już w czasie studiów w Warszawie, ale również podczas pobytu w klinikach zagranicznych w kręgu jego zainteresowań szczególne miejsce zajmowała chirurgia. Kilkuletnia praktyka na oddziale chirurgicznym szpitala wojskowego w Lublinie dała mu doświadczenie, które jedynie utwierdziło go w wyborze tej specjalizacji. Pracując od 1884 roku na stanowisku rządowym

zaoszczędził kwotę, która pozwoliła mu na utrzymanie się na stanowisku asystenta nadetatowego Kliniki Chirurgii Wydziałowej w szpitalu Św. Ducha w Warszawie kierowanej przez znakomitego chirurga J. Kosińskiego. Zagórski wykazał się wiedzą, talentem i zaangażowaniem w sprawy zawodowe, co szybko wypromowało go na stanowisko asystenta etatowego w tejże klinice. W tym czasie ogłosił dziewięć prac, w tym sześć z zakresu chirurgii. Prace te, według mu współczesnych świadczyły nie tylko o wysokim poziomie wiedzy autora, ale i jego krytycznym umyśle. Omawiał w nich nie tylko choroby i przebieg operacji, metody zabiegowe, najnowsze postulaty myśli chirurgicznej, ale także, jeżeli zaistniały, analizował przyczyny niepowodzenia w trakcie leczenia. Poziomem głoszonych referatów zdobył sobie uznanie członków Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego. Chwalący go dr Waław Sztayner, zwrócił uwagę, że Zagórski był mówcą wygłaszającym swe odczyty „zwykle z pamięci, bardzo wymownie, językiem pięknym, stylem wytwornym...”. Nie odbiegała od tego opinia dr. Józefa Jaworskiego, kiedy pisał o młodym lekarzu „(...) Zagórski należał do tego grona chirurgów naszych (...), którzy wyjątkowo biegle mówią ojczystą władą potrafią. Niektóre opisy śmiało pomieścić by można we wzorach stylistyki.”

Jeszcze w 1886 roku Zagórski przystąpił do konkursu na stanowisko ordynatora oddziału chirurgicznego szpitala praskiego w Warszawie. Ostatecznie pierwszeństwo musiał oddać doktorowi Franciszkowi Jawdyńskiemu. Niemniej pozycja Zagórskiego była już na tyle silna, że otrzymał obietnicę objęcia podobnego stanowiska bez konkursu, jeżeli tylko zwolni się etat.

Zagórski zdecydował się na powrót do Lublina, gdzie 17 kwietnia 1890 roku objął po doktorze L. Szmidcie stanowisko naczelnego lekarza szpitala św. Wincentego á Paulo. Funkcję tę pełnił przez siedem lat, aż do śmierci w 1898 roku. Szybko ujawniły się jego talenty organizacyjne. Wzorem szpitali warszawskich „zreformował powierzony sobie szpital podzieliwszy go na oddziały: wewnętrzny, chirurgiczny, ginekologiczny i psychiatryczny (...), urządził doskonałą salę operacyjną, pracownię zaopatrzoną w mikroskopy”. Uruchomił przede wszystkim ambulatorium z salą zabiegową. Przekonał władzę aby zerwać z tradycją zatrudniania jednego lekarza i uzyskał zgodę na przyjęcie

nadetatowych asystentów. Zagórski sam wykonywał wiele operacji brzusznych przy tym ciągle nauczając technik operacyjnych i nowych metod. Zapraszał lekarzy z innych szpitali w celu omówienia wskazań oraz projektowanych operacji. Apelowal do lekarzy o rozpowszechnianie nowoczesnej metody antyseptycznej dr Josepha Listera.

Podczas epidemii cholery w Lublinie w 1892 roku ofiarnie poświęcał się swoim pacjentom pozostając prawie bez przerwy w szpitalu do wygaśnięcia epidemii. W trakcie pracy w szpitalu św. Wincentego á Paulo kilkakrotnie wyjeżdżał do zagranicznych ośrodków naukowych w celu pogłębienia swojej wiedzy, głównie z zakresu chirurgii.

Doktor K. Zagórski zmarł nagle na zawał 19 stycznia 1898 roku. Został pochowany na cmentarzu przy ulicy Lipowej. Prasa lubelska donosiła,

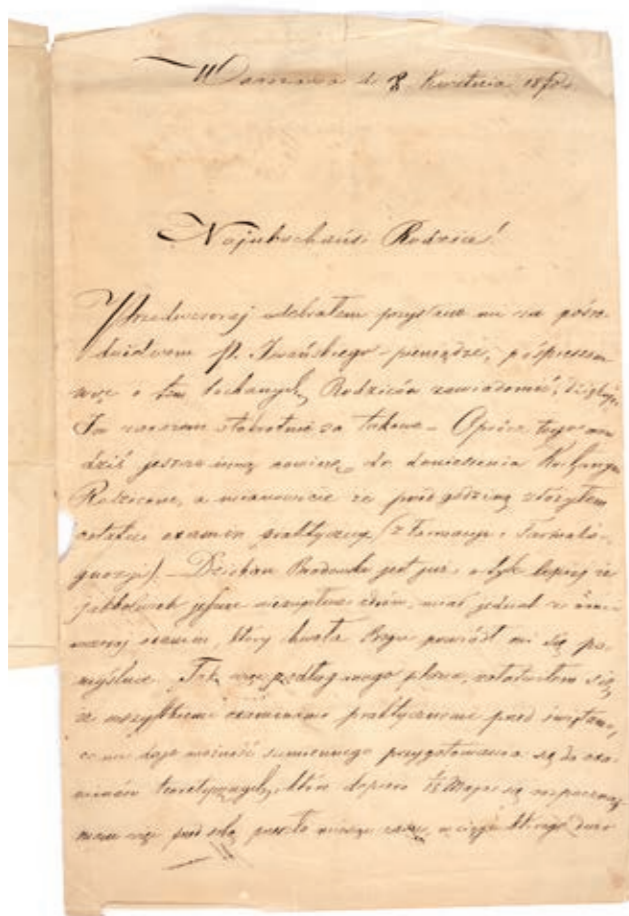


*Nagrobek Karola Zagórskiego
na cmentarzu przy ulicy Lipowej w Lublinie*

że pogrzeb doktora Zagórskiego „odbył się (...) przy udziale niezliczonych tłumów ze wszystkich sfer społeczeństwa, bez różnicy wiary i narodowości (...) a hołd ten (...) zjednał sobie (K. Zagórski przyp. autora) swym bezinteresownym i dobrym charakterem jako człowiek i lekarz”.

Lekarze lubelscy wystawili mu epitafium w kościele Sióstr Miłosierdzia (Szarytek) w Lublinie.

Na przekazany do Muzeum zbiór pamiątek składa się przede wszystkim 31 listów Zagórskiego pisanych w okresie studiów w Warszawie i za granicą, które stanowią najciekawszy i najwartościowszy element tego zespołu. Rękopisy uzupełniają dwa zeszyty. Pierwszy z nich pochodzi jeszcze z czasów gimnazjalnych Zagórskiego; zatytułowany Wypracowania polskie zawiera 4 rozprawki, m. in. o znaczeniu teatru. Drugi zeszyt został подарowany prawdopodobnie K. Zagórskiemu przez autora o inicjałach M.H.J widniejących na stronie tytułowej. Całość starannie wykaligrafowana została zatytułowana Wyjątek z poematu Karola Balińskiego „Męczeństwo Zbawiciela” i nosi datę 6 stycznia 1868 rok.



List Karola Zagórskiego adresowany do rodziców, Warszawa, 8 kwietnia 1870 roku.

tułowana Wyjątek z poematu Karola Balińskiego „Męczeństwo Zbawiciela” i nosi datę 6 stycznia 1868 rok.

Pierwsza grupa pięciu listów pochodzi z okresu studiów Zagórskiego w Warszawie w latach 1867-1873. W jednym z nich, student Zagórski, po czterech latach studiów przyznał się zmarłemu do swojej pierwszej klęski, czyli oceny na „czwórke”, jaką otrzymał na egzaminie z anatomii patologicznej u słynnego, ale przede wszystkim srogiego profesora Włodzimierza Brodowskiego. W innym planował, za namową profesora Polikarpa Girsztofta, napisanie oplatanej przez uczelnie, rozprawy p. t. O odradzaniu się okostnej. Zagadnienie to wymagało przeprowadzenia serii doświadczeń i w tym celu musiał zostać na okres wakacji w Warszawie. Niestety korespondencja nie dostarcza nam informacji o realizacji tych planów.

Pozostałe 26 listów pochodzi z okresu wspomnianych już studiów za granicą w latach 1873-1875, a ich treść jest doskonałą relacją pobytu autora w europejskich stolicach i ośrodkach naukowych. Listy są nieocenionym źródłem wiedzy nie tylko zapomnianej osoby zdolnego lekarza propagującego nowoczesne metody leczenia. Pokazują człowieka wszechstronnie wykształconego o szerokich horyzontach i zainteresowaniach, erudyty obdarzonego dużą wrażliwością. Szerokie koligacje rodzinne oraz bogate kontakty towarzyskie ich autora, mogą stanowić źródło do biografii wielu osób obcujących z nim, a pochodzących z elit społecznych końca XIX wieku. W końcu są również, nigdy nie wykorzystanym, materiałem przy studiach nad polskim dziedzictwem Josepha Conrada Korzeniowskiego.

Zagórski rozpoczął podróż w pierwszych dniach października 1875 roku od Krakowa, gdzie spędził dwa dni oczekując na spóźnionego współtowarzysza Jana Alfonsa Surzyckiego. Opóźnienie to wynikało ze zmiany planów J. A. Surzyckiego, który w ostatniej chwili postanowił odwiedzić do granicy swoich przyszyłych teściów - Annę i Tytusa Chałubińskich. Czas oczekiwania na współtowarzysza podróży wykorzystał na zwiedzanie Krakowa. Obejrzał Wawel, kilka galerii. W liście do matki podziwiał obraz Jana Matejki „Iwan Groźny” i ubolewał nad stanem ołtarza Wita

Stwosza krytykując, iż „ (...) rzeźba ta jest niemiłosiernie pomalowana olejnymi farbami.”

6 października 1875 roku był już w Wiedniu i od razu rozpoczął zajęcia na Uniwersytecie Wiedeńskim. Zagórski był już lekarzem z kilkuletnim doświadczeniem obdarzonym darem błyskotliwego obserwatora i rzeczowego krytyka. Raziła go, m. in. postawa profesora T. Billrotha wobec pacjentów, pisząc o tym: „a pod względem obchodzenia się z chorymi i troskliwością o nich daleko za nim stoi” (za J. Kosińskim przyp. autora).

Zagórski znajdował czas na wizyty w galeriach i muzeach wiedeńskich. Dokładne opisy ekspozycji, obrazów i rzeźb pokazują Zagórskiego jako człowieka wrażliwego, ale również jako znawcę sztuki, zdolnego interpretatora i krytyka o ogromnej wiedzy z zakresu historii sztuki i historii. Co prawda po obejrzeniu „Fausta” Ch. Gounoda nie dowiadujemy się z korespondencji o poziomie przedstawienia, ale wiemy, że zachwyił go sam gmach opery, jego architektura i przepych „(...) a szczególnie (...) wentylacja.”

Już na początku swojego pobytu w Wiedniu Zagórski skontaktował się z legalnie działającym Polskim Towarzystwem „Ognisko”. W 1875 roku wiedeńska Polonia uroczystie obchodziła dwudziestą rocznicę śmierci Adama Mickiewicza oraz jubileusz dziesięciu lat „Ogniska”. Na początku grudnia Zagórski wziął udział w uroczystym spotkaniu, połączonym z koncertem z deklamacjami. Zaproszeni zostali przedstawiciele stowarzyszeń studenckich innych narodów działających w Austrii, tzn., m in. Węgrów, Rumunów, Serbów, Chorwatów, Słoweńców i Włochów oraz członków Stowarzyszenia „Siła”, które organizowało polskich rzemieślników pracujących w Wiedniu. Wśród zachowanych pamiątek zachował się program tej uroczystości noszący tytuł Program wieczoru muzyczno-literackiego urządzonego przez polskie stowarzyszenie akademików „Ognisko” dnia 27 listopada 1875 roku w Sali Grand Hotel ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza a zarazem dziesięcioletniej rocznicy istnienia „Ogniska” zorganizowanego, podczas którego wstęp do Konrada Wallendora i Pieśń Wajdeloty miał przedstawić doktor Zagórski ukrywający się pod inicjałami „K. Z”.

Na posiedzeniach tego Towarzystwa wygłosił kilka odczytów, m. in. p. t. O zjawiskach dzieziczności w sferze cielesnej i duchowej, Nowe

badania nad obyczajami mrówek, przyczynek do historii i inteligencji u zwierząt. Zagórski liczył, że oba te teksty dzięki pośrednictwu J. A. Surzyckiego zostaną opublikowane na łamach „Niw” „(...)gdyż ten (J. A. Surzycki- przyp. autora) ma je oddać Głowackiemu do wydrukowania”. Bolesław Prus już raz miał okazję stanąć w sprawie Zagórskiego, kiedy ostro skrytykował część lubelskiej inteligencji w związku z wystąpieniem młodego lekarza p. t. O piękności form ciała ludzkiego, w którym prelegent mówił między innymi o teorii przemiany gatunków – ku wielkiemu niezadowoleniu niektórych słuchaczy. B. Prus pisał: „Dla Lublina stałość gatunków już jest dowiedzioną: lublinianie tylko od lublinian pochodzą, w Lublinie się chowają, w sobie tylko wierzą, a o żadnych teoriach nowych słyszeć nie chcą. Nowe teorie są wprawdzie warunkiem postępu, no! ale co za związek może być między Lublinem a postępek? O, błogosławione miasto, któremu w głowie mąci samo nawet nazwisko Darwina! O miasto, które sądzisz dzieła z okładką, a teorie z odczytów, o miasto! o miasto!”

W liście z 21 grudnia 1875 roku K. Zagórski zwierzył się rodzicom, iż „ (...)przed paroma tygodniami został(...) członkiem Siły”. Stowarzyszenie to zrzeszające polskich rzemieślników pracujących w Wiedniu na początku swojej drogi miało charakter socjalistyczny, a w okresie pobytu K. Zagórskiego w Wiedniu już narodowy. Na posiedzeniu tej organizacji K. Zagórski wygłosił swój trzeci odczyt p. t. Elektryczność i organizm ludzki.

Prawdopodobnie podczas pracy w Stowarzyszeniu Ognisko poznał starszego od siebie o dwanaście lat studenta Władysława Krajewskiego, działacza tej organizacji, późniejszego lekarza balneologa. Postać tego bohatera musiała zrobić na K. Zagórskim duże wrażenie, gdyż poświęcił mu w liście obszerny akapit. Znajomość ta musiała być bardziej zażyłą, ponieważ K. Zagórski spędził z W. Krajewskim i jego rodziną Święta Bożego Narodzenia 1875 roku. Pod koniec roku K. Zagórski gościł u siebie przez kilka dni bliskiego kolegę jeszcze z okresu ze studiów w Warszawie doktora Alfreda Sokołowskiego. Natomiast z początkiem roku 1876 oczekiwał znowu opóźnionego J. A. Surzyckiego. Tłumaczył go następująco „ (...) przyjazd opóźniony bo stara się (J. A. Surzycki- przyp. autora) o rękę Jadwigi Chałubińskiej.”

W lutym 1876 roku K. Zagórski planował następny etap podróży naukowej przez Monachium, Studgard i Strasburg do Paryża. Kiedy w krótkim liście wyrzuca wiedeńczykom, że to „(...) Polakożercy (...)” wydaje się, że był już zmęczony stosunkami panującymi na Uniwersytecie Wiedeńskim.

3 marca 1876 roku był już w Monachium. Przed kilkudniową wizytą w tym mieście podziwiał zabytki Augsburga. W liście do rodziców również opisał „(...)prześliczne okolice Szwarzwaldu i Alp Szwabskich”. Pochlebnie zrelacjonował zajęcia u profesora Henryka Zimmsera w Monachium pisząc: „Uderzyła mnie przede wszystkim olbrzymia różnica zachodząca pomiędzy wiedeńskimi i tutejszymi profesorami pod względem uprzejmości i grzeczności w obejściu. W Wiedniu obcy lekarze tak już spowszednieli na klinikach, że profesorowie tamtejsi nie zwracają na nich żadnej uwagi. (...) Tu na odwrót rzadko się zdarza na wykładzie lekarz cudzoziemiec, to też za to przyjmą go daleko uprzejmiej. Tak n. p. prof. Zimmser po ukończonej lekcji oprowadził nas sam po całej klinice.”

Pobyt w klinice monachijskiej trwał tylko kilka dni, bo 8 marca 1876 roku K. Zagórski wysłał już list z Tybingi. Tutaj w czasie dwudniowej wizyty odwiedził kliniki Karla von Liebermeistra oraz Paula von Brunsy.

Od 9 marca tego samego roku K. Zagórski przebywał w Strasburgu. Trudno powiedzieć czy odwiedził tutaj jakąś klinikę, bowiem w korespondencji o tym nie wspomina, Natomiast potwierdza wszechstronność swoich zainteresowań, gdyż najbardziej zajęła go liczba 39 tuneli, przez które przejechał pociągiem w ciągu dwóch godzin podróży.

11 marca 1875 roku Zagórski przybył do Paryża, gdzie zamieszkał w dzielnicy łacińskiej, przy Rue Dupuytren 6.

Tak jak w Wiedniu, Zagórski swój czas wypełnia nauką. Niezadowolony z wykładów przede wszystkim „(...) z powodu niesłuchanie niewygodnego rozkładu (...)” jak zawsze znalazł czas na zwiedzanie tego miasta. Jedną z pierwszych wycieczek zaprowadziła go na cmentarz Père Lachaise, który obszernie opisał. Oczywiście najwięcej uwagi poświęcił nagrobkowi Fryderyka Chopina. W maju zwiedził Wersal i ciekaw mowy pogrzebowej W. Hugo wziął udział w manifestacji

paryżan na pogrzebie J. Micheleta. Z listów słanych z Paryża na pierwszy plan przebija przede wszystkim problem kurczących się zasobów finansowych. Pożyczył przebywając jeszcze w Wiedniu kwotę stu rubli od rodziców oraz dwudziestu pięciu od Z. Gerlicza „(...) interesa moje wcale nie są świetnym stanie, wydatki bowiem okazały się znacznie w ogóle większe, aniżeli je na przód obliczałem także dlatego, ażeby zamierzony czas w Paryżu dotrwać, a szczególnie w niezbędne instrumenta się zaopatrzyć, zabraknie mi prawdopodobnie około 150 rbs”. W tym samym liście zastanawia się, czy nie zaciągnąć kolejnego długu u rodziców, a po powrocie do Lublina spłacić ich, kiedy „ (...)pożyczy (...) od Żyda(...)”. Na pewno ten problem zdecydował o powrocie Zagórskiego do Kurowa, a nie jak planował pierwotnie, Warszawy, Lublina bądź ostatecznie do Rosji „(...) coraz w nowe długie włączyć muszę, że prawdopodobnie będę musiał wbrew chęci, na jakiś czas w Kurowie jeszcze osiąść, bo gdziekolwiek indziej bym się osiedlał, wszędzie pociągnęłoby to za sobą nowe koszty dość znaczne, których nie miałbym czym pokryć”. Powrót z Paryża do Warszawy, a potem Lublina Zagórski planował na połowę czerwca 1876 roku. Pierwotnie zamierzał zatrzymać się na jeden dzień w Kolonii po drodze zwiedzając Rheims i Sedan. Jak pisał do Kolonii miał „ (...) udać się statkiem parowym po Renie, przyczem zwiedziłbym (K. Z. przyp. autora) najpiękniejszą część brzegów Renu”. Z Kolonii jego droga miała prowadzić do Drezna, skąd po dwóch dniach miał się udać już bezpośrednio do Warszawy. Jednak za namową jego wuja Aleksandra Poradowskiego plany te uległy zmianie, ponieważ wraz z żoną Margueritte oczekiwali go w Brukseli.

Korespondencję doktora Zagórskiego z okresu studiów za granicą kończy list wysłany 18 czerwca 1876 roku z Brukseli. Z kilku zdań dowiadujemy się, że po dziesięciu godzinach podróży z Paryża stawił się w Brukseli 16 czerwca 1876 roku.

Całość zbioru korespondencji doktora Zagórskiego przechowywanego w zbiorach Muzeum Historii Miasta Lublina zamyka list wysłany 4 czerwca 1881 roku z Paryża do rodziców. List ten pochodzi z następnych studiów Zagórskiego w Paryżu rozpoczętych 29 marca 1881 roku, czyli rok po objęciu stanowiska lubelskiego lekarza powiatowego. W liście tym, ogromnie ciekawym

choć nie dostarcza wiadomości dotyczących samych studiów w Paryżu, czule wspomina swoją żonę Anielę z Unrugów, poślubioną w 1880 roku. Za pośrednictwem swoich rodziców udzielał jej wskazówek jak ma dojechać z majątku teściów w Sulmowie do wód w Teoplitz. Pisze więc „ Anielutka (...) lepiej byłoby gdyby jechała przez Warszawę, jak to pierwotnie zamierzała uczynić”. W tym miejscu warto przypomnieć osobę samej Anieli z Unrugów Zagórskiej, córki Józefa Unruga i Aleksandry z Gloztów. Pochodziła ze zubożałej rodziny arystokratycznej, której siedzibą był Sulmów w powiecie kolskim. Więzy krwi łączyły ją, m. in. z Kossakami, Jadwigą Niną Witkiewiczową i Teresą Tatarkiewicz. Zagórka była osobą niezwykle uzdolnioną artystycznie, wśród znajomych i w rodzinie słynęła z pięknych haftów, w których modelami były bukiety z żywych kwiatów. Była też dobrą pianistką. Interesowała się filozofią i zagadnieniami religijnymi, a znając doskonale język francuski i niemiecki parała się tłumaczeniem książek, szczególnie religijnych. Po śmierci męża pozostała bez środków do życia. Utrzymywała się z córkami z lekcji języków, gry na fortepianie, a także przyjmowała do swego obszernego mieszkania przy Krakowskim Przedmieściu 68 w Lublinie uczniów ze szkół na tzw. stancję. Po krótkim czasie przeniosła się do majątku w Leścach pod Lublinem, który był własnością Dionizego Trzcinińskiego, teścia Zofii z Unrugów- starszej siostry Anieli. Małżeństwo Zagórskich miało dwie córki Anielę i Karolę. Obydwie odziedziczyły niezwykle zdolności po rodzicach. Aniela po ukończeniu szkoły również uczyła muzyki, ale choroba zmusiła ją do przerwania tego zajęcia, dawała więc lekcje polskiego. Ponieważ rozchorowała się na gruźlicę, a lekarze zalecali pobyt w górach Zagórka zdecydowała o przeniesieniu się wraz z córkami do Zakopanego, gdzie ok. 1901 roku w wili „Konstantynówka” otworzyła pensjonat. Tutaj zaprzyjaźniły się z Sieroszewskimi, Żeromskimi, Solskimi i Strugami. Bywalec tego domu Artur Rubinstein pisał: „Dom pani Zagórskiej stał się ulubionym punktem zbornym polskiego środowiska literackiego. Stefan Żeromski, Leopold Staff oraz mój stary przyjaciel Witkacy bywali codziennymi gośćmi na obiedzie. Od czasu do czasu pojawiał się przy stole wysoki, szczupły i posępny mężczyzna”, który podobno zwracał uwagę podobno tylko na gospodynię. Był to Józef

Piłsudski. Zagórka wraz z córkami założyły teatr amatorski, w którym swoich sił próbowały obie siostry.

Rodzina Karola Zagórskiego była spokrewniona z matką Józefa Korzeniowskiego (Conrada). Pisarz wspominał: „(...) Najbliższy był mi wuj Bobrowski, a zaraz potem Karol. Wielkie serce i inteligencja i najmiłszy towarzysko człowiek. Dowcip i wesołość (...)”. W 1893 roku Conrad odwiedził dwukrotnie wujostwo Zagórskich w Lublinie, kiedy jechał i po dwóch miesiącach wracał z Kazimierówki na Ukrainie, gdzie mieszkał jego wuj Tadeusz Bobrowski. Kiedy w 1914 roku Conrad wraz żoną i synami przyjechał do Polski przede wszystkim odwiedził Anielę Zagórską, z którą korespondował od lat. Aniela – córka po nieudanych próbach aktorskich spróbowała swoich sił jako tłumaczka. Przełożyła Szaleństwo Almayera Conrada. Autor w pełni zaakceptował ten przekład: „(...) O ile mogę osądzić atmosfera oddana jest doskonale i zapewniam Cię, że bardzo Ci jestem wdzięczny za tak wierną interpretację mojej pracy (...)”. Siostry Zagórskie otrzymały wyłączne prawo przekładów. Aniela Zagórka poświęciła się temu całkowicie i to jej zawdzięczamy wprowadzenie dzieł Conrada do Polski.

Magdalena Piwowarska

Kierownik i Kustosz Muzeum Historii Miasta Lublina - Brama Krakowska, miłośniczka historii, niezrównana przewodniczka po tajemnicach dawnego Lublina.

Więcej o działalności
Muzeum Historii Miasta Lublina
w Bramie Krakowskiej
można przeczytać na stronie:
www.muzeumlubelskie.pl



Warto przeczytać

Robert Weintraub

„Najlepszy przyjaciel. Człowiek i pies
– bohaterstwo podczas drugiej wojny światowej”.

Wydawnictwo Replika. 2017.

ADAM PRYZSTUPA

Ta historia rozpoczęła się niczym opowieść z dziecięcych książeczek. W schronisku dla psów w dalekim, egzotycznym Szanghaju czystej krwi pointerka Kelly powiła siedem szczeniąt. Nie minęły trzy tygodnie, a jedno z nich, miast na krok nie odstępować swej mamy, wydostało się na swą pierwszą samodzielną wędrowną podróż po mieście. W lutym 1936 roku Szanghaj był jedną z najbardziej gwarnych i ludnych metropolii na świecie. Nic więc dziwnego, iż dość szybko zagubionej brązowo-białą futrzanej kuleczce przyszło szukać schronienia. Zagubiona i głodna trafiła na śmietnik przy sklepie pana Soo, który ja przygarnął. Jeśli nie padłaby z głodu, mogłaby trafić na jeden z miejscowych stołów, w myśl chińskiego powiedzenia „Jeśli chodzi grzbietem zwróconym do słońca, jest jadalne”. Ale w sklepie pana Soo, mała pointerka spotkała się nie tylko z ciepłem i troską. W pewien deszczowy, majowy dzień wtargnęli tam pijani japońscy marynarze. Pobili właściciela a szczeniaka cisnęli na ulicę. Tam znalazła ją mała dziewczynka pomagająca przy zwierzętach... w schronisku, w którym na świat przyszła mała wędrowniczka. Lee Ming nazwała ją Shudi, co znaczy „spokojna”, bo mała pointerka spokojnie znosiła wszelkie zabiegi pielęgnacyjne po powrocie do schroniska. Świat poznał ją jednak, jako Judy. Judy z Sussex – tak zapisano ją w księgach brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej.

Zajmujące losy Judy, na przeszło czterystu stronach książki „Najlepszy przyjaciel” opisał amerykański pisarz Robert Weintraub. Kto po nią sięgnie zagłębi się w opowieść o przyjaźni i poświęceniu, w opowieść o psie, który we



Za zgodą wydawcy.

wrzeźniu 1936 roku z szanghajskiego schroniska trafił na pokład kanonierki HMS Gnat, patrolującej wody rzeki Jangcy, podbijając serca swych dwunożnych towarzyszy broni. Po wybuchu wojny w Europie Judy zamustrowano na HMS Grasshopper, który operować miał na wodach Morza Wschodniochińskiego. Na kartach książki znajdziemy obraz dramatycznej ewakuacji Singapuru, bezbronnego wobec ataku Japończyków. W lutym 1942 roku, prowizoryczna flotyła próbowała ratować żołnierzy i cywili przed nadciągającą rzezią. Była tam Judy, swą

obecnością podnosząc na duchu, stłoczonych na pokładzie uciekinierów. Judy, posiadała jeszcze jedną przedziwną umiejętność, bezbłędnie ostrzegała załogę okrętu o nadlatujących japońskich samolotach. Niestety, psia czujność nie uchroniła okrętu, który podzielił los większości statków z uciekinierami. A potem... a potem była wyspa Posic, jedna z wielu bezludnych wysepek, na które dotarli rozbitkowie. Ocalili za sprawą Judy, która odkryła źródło pitnej wody, a nocą strzegła śpiących na plaży odstrasżając węże. Gady przeważnie uciekały, ale jeśli nie zrobiły tego w porę, zagryzała je by czekając pochwały złożyć u stóp osób, którym uratowała życie. Natura psa myśliwskiego nie opuściła Judy, również podczas wędrówki przez sumatrzeńską dżunglę gdzie wedle zachowanych relacji czuła się odpowiedzialna za grupę uciekinierów – wybierała drogę, ostrzegała przed dzikimi zwierzętami, w ich obronie ważyła się zaatakować krokodyla. Doprowadziła ich do Padang, gdzie uchodźcy mieli nadzieję na ratunek. Niestety, gdy tam dotarli ostatni statek już odpłynął, zjawili się natomiast Japończycy...

Rozpisałem się i można by pomyśleć, iż zdradziłem całą fabułę, ale tak naprawdę w tym miejscu historia o przyjaźni dopiero się rozpoczyna. W piekle japońskiej niewoli Judy pozna starszego szeregowego Franka Williama, który tak jak ona, choć inną drogą, uchodził z obłożonego Singapuru. Ale o tym jak za sprawą zmyślonej intrygi Williama Judy zyskała oficjalny status jeńca wojennego o numerze 81-A w obozie Gloegoer musicie przeczytać sami. Nie oderwiecie się od lektury, by w zadziwieniu czytać relację o psie, który po raz wtóry przeżył zatopienie statku ewakuującego więźniów. Psie, który podpływał do wyczerpanych lub niepotrafiących pływać rozbitków by mogli schwycić się szyi, a on ciągnął ich do szalup ratowniczych. Pozostaniecie pod urokiem Judy, tak jak pozostawali pod jej urokiem więźniowie kładący w dżungli linię Kolei Birmańsko-Syjamskiej. Wieści o psie, który zdołał przetrwać mimo tak niewiarygodnie małych szans, który kolejny raz zdołał uniknąć śmierci były tym, co dodawało otuchy, niosło nadzieję. Nam pomogą skrzesać uśmiech, a może po trosze się zadumać...

ADAM PRYZSTUPA

Dobrana para

Lgnie do grzbietu pod kurtką koszula
Szukam wkoło zieleni jak łasuch
Szalik, w który przed wiatrem się wtulam
Chciałby wreszcie już zażyć wywczasu

Lada dzień zzuję buty zimowe
Stąpać będę leciutko nad ziemią
Trel posłyszę, wzrok wniosę nad głowę
Trącę struny co w piersi drzemią

By ośmielić ją umyję okna
Zoczyć ślady jej będę się starał
Wreszcie w deszczu marcowym ją spotkam
Ja i wiosna, dobrana para

10-12 marca 2018

Na kartach komiksu odnaleziona

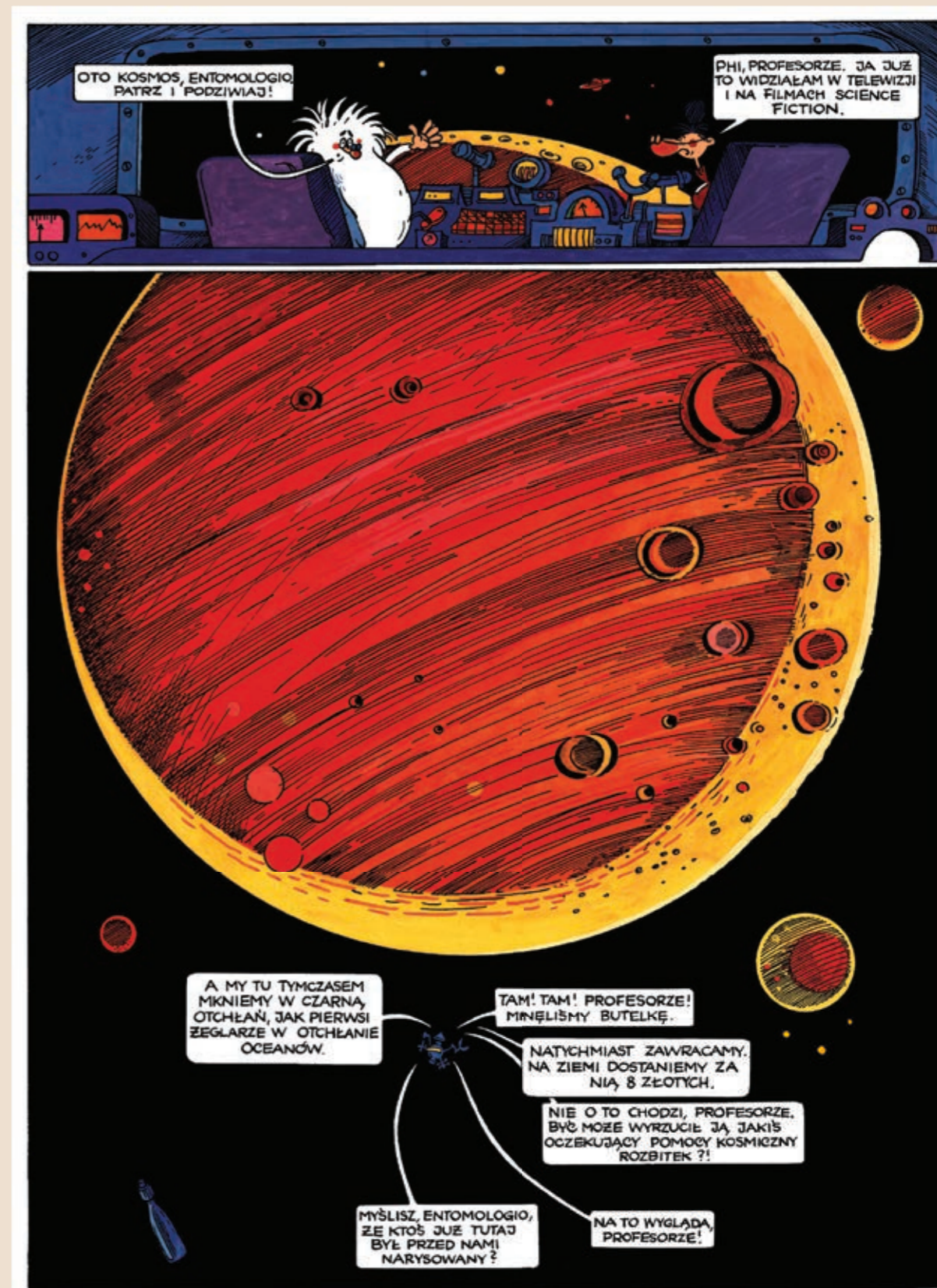
Jakże często lekturę gazet rozpoczynamy od ich ostatniej strony. Posiłek rozpocząć od deseru? To zgoła nierozsądne, a jednak. Czasem odnajdujemy tam sport, czasem krzyżówkę, czasem rewię ciekawostek. Ja, przed laty, lekturę „Świata Młodych” wyczekanego bladym świtem w kolejce przed kioskiem „Ruchu” rozpoczynałem od publikowanego tam komiksu.

Skąd wziął się komiks? Niektórzy, podług mnie mocno na wyrost, dopatrują się podobieństwa komiksowych kadrów w pasmowych kompozycjach egipskich hieroglifów. Jeszcze inni, odnajdują jego pierwowzór w reliefach umieszczonych w 113 r. n.e. na tzw. kolumnie Trajana, gdzie kolejnych 155 scen ułożonych w liczącą 200 metrów wstęgę przedstawia koleje rzymskich wojen z Dakami. Ale to przecież tylko forma przedstawienia następstwa zdarzeń. W średniowieczu, niesłusznie uznawanym za wieki ciemne (Europa płonęła stosami w przesiąkniętym humanizmem Renesansie, a bliski nam wiek XX wynoszony ponad wieki średnie zostanie zapamiętany, jako czas zbrodniczych utopii i hekatomby światowych konfliktów) tworzył Giotto di Bondone, uznawany za prekursora współczesnego malarstwa. Jako pierwszy w XIII stuleciu przydał uczuć twarzom malowanych postaci, ich figurom nadał plastyczność flirtując ze światłocieniem, zbuntował się przeciw płaskości kompozycji nadając jej głębi, czym wyznaczył trop prowadzący do perspektywy. Ów Giotto dekorując Kaplicę Scrovegnich w Padwie trzydzieści siedem scen biblijnych ułożył niczym komiks w trzech pasmach na ścianie.

Jakże błyskotliwe, jakże nobilitujące byłoby wywieść rodowód komiksu do Giotta, ale to wciąż tylko serie obrazów budujących fabułę. Gdzież zacząć komiksowych dymków?

Łacińskie napisy towarzyszące serii obrazów przedstawiających najazd Normanów na Wyspy Brytyjskie znajdujemy na średniowiecznej tkaninie z Bayeux, ale to wciąż jeszcze nie komiks. W datowanym na 1338 r. lub 1339 r. panoramicznym fresku Ambrogio Lorenzettiiego „Alegoria dobrych rządów-skutki dobrych rządów w mieście i na wsi” pojawia się anioł trzymający wstęgę opatrzoną stosowną sentencją. Nie jedną, ale dwie wstęgi układające się na kształt dialogowych dymków umieścił anonimowy artysta określany, jako „Mistrz godzinek Rohan” w realistycznej miniaturze „Zmarły przed Sądem Boskim” (ok. 1418-25 r.). Z usta zmarłego wybiega biała wstęga z łacińskim napisem „W ręce twoje oddaje duszę moją: zbawiłeś mnie o Panie, Boże Prawdy”. Bóg spoglądający nań z nieba odpowiada na jego modlitwę słowami „Będziesz pokutować za grzechy. W dniu sądu będziesz ze mną”. Ów pomysł powróci po latach w świeckich w swym charakterze, oświeceniowych rysunkach satyrycznych, aż wreszcie wraz z dziewiętnastowiecznym rozwojem prasy zaczął się na jej łamach pojawiać pierwsze opowieści obrazkowe. Reklamowany przez niektórych, jako pierwszy amerykański komiks „Adventures of Obdiah Oldbuck” Rudolfa Topffera z 1842 r. miał jeszcze formę kadrów z podpisami umieszczonymi poniżej. Na rodzimym gruncie, w tej

Opowieść czterdziesta



Tadeusz Baranowski - Antresolka profesorka Nervosolka - 1985 r. - za zgodą autora.

formie prezentował się pierwszy komiks z 1919 roku „Przygody Szalonego Grzesia” autorstwa Kamila Mackiewicza i Stanisława Wasylewskiego. Podobnie wyglądały wydane w 1933 nieśmiertelne „Przygody Koziołka Matołka”, ale w ten

sposób swoje niektóre komiksy rysował jeszcze w latach sześćdziesiątych Jerzy Wróblewski. Klasyczny komiks z dymkami pojawił się w 1895 r. na łamach „New York World” gazety należącej do Josepha Pulitzerza – był to „Yellow Kid”

kreślony przez Richarda Outcalta.

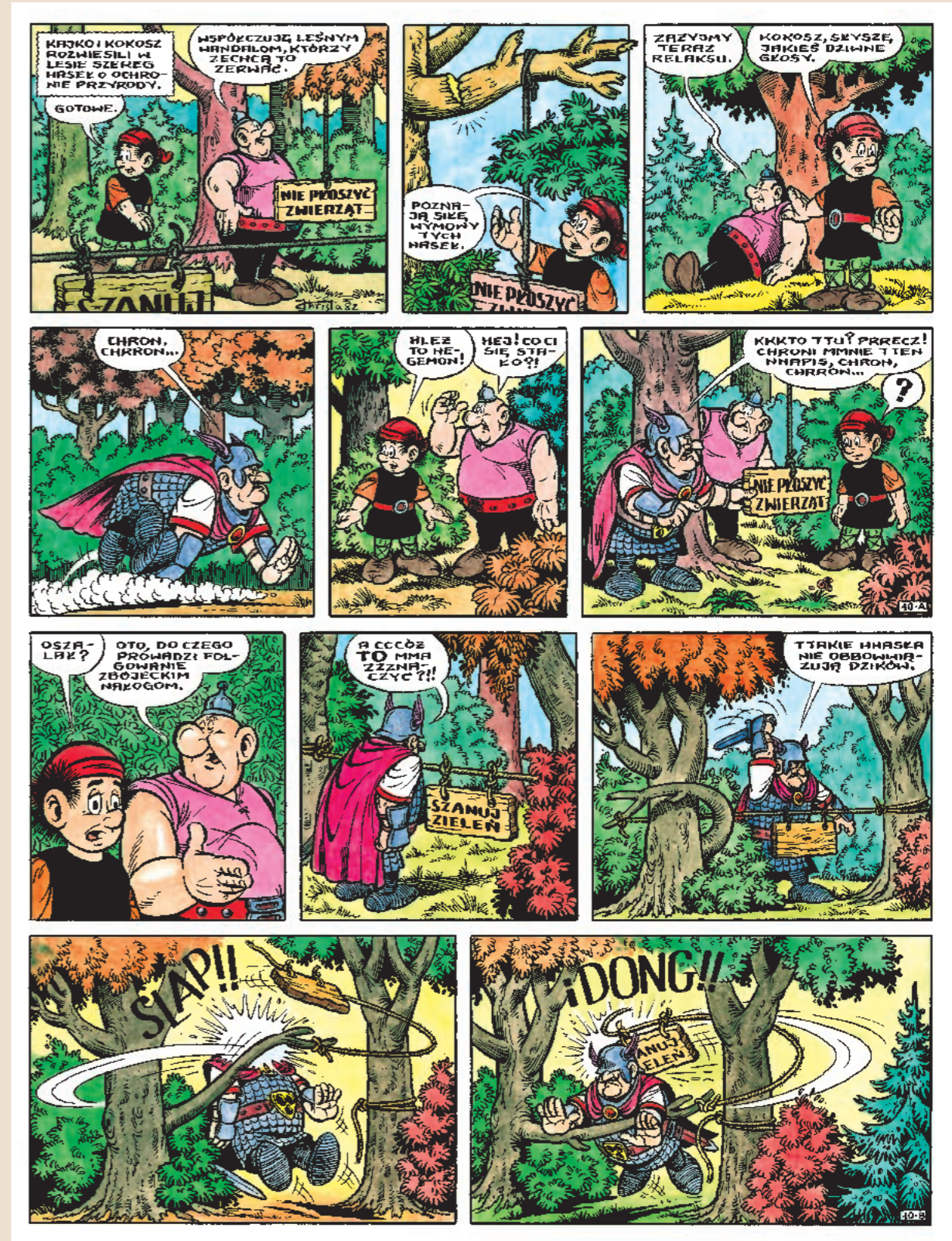
Dla mnie, mówiąc żartobliwie, komiks wziął się ze „Świata Młodych”. To musiał być rok 1981. Walcząc o pierwszeństwo w zakamarkach pamięci idą głowa w głowę „Cudowny lek” z Kajkiem i Kokoszem, „Binio Bill i 100 karabinów” oraz „Antresolka profesorka nerwosolka”. A może... a może się mylę. Może komiksy wzięły się z towarzyszenia siostrze w wyprawach do osiedlowej biblioteki, gdzie na oddzielnej półce leżały oprawione w folie numery „Relaxu”? Próżno było ich szukać na wystawie w kiosku czy księgarni. Już prędzej można było je dostrzec na targowych straganach, oferowane za kilkukrotnie wyższą cenę. Pozostawało kompletowanie kolejnych odcinków komiksów wycinanych ze „Świata Młodych”, choć i to nie zawsze się udawało. Po prawdzie, udało się tylko trzy razy – zebrałem komplet odcinków „Binio Bill kontra trojczki Benneta” Jerzego Wróblewskiego, „Metacom” Jacka Widora oraz „Piętnastoletniego kapitana” kreślonego przez Tadeusza Raczkiewicza na motywach powieści Juliusza Verne’a.

Zaległości nadrabiam teraz, fundując sobie pełne nostalgii wyprawy w „złotą erę” polskiego komiksu. Wiem oczywiście, że internet pełen jest teraz prac nowych, młodych twórców, że II wojna światowa przerwała naturalny rozwój tego rodzaju twórczości w naszym kraju a po wojnie patrzono nań nieufnie, jako na wytwór „amerykańskiego imperializmu”. Zdaję sobie również sprawę, iż władze PRL dostrzegły w komiksach potencjał propagandowy, ale równocześnie pamiętam, iż w tym czasie jak nigdy później wyobraźnię dzieciaków zawładnęli właśnie ich bohaterowie - Tytus, Romek i Atomek, Kajko i Kokosz, Jonka, Jonek i Kleks, Binio Bill czy Gucek i Roch. Popularnością cieszyły się też serie wydawnicze, w których obok zajmującej fabuły składano trybut socjalistycznej propagandzie – sławiące dokonania Gwardii Ludowej „Podziemny front”, będący adaptacją popularnego serialu „Kapitan Kloss”, osławiający działania milicji obywatelskiej „Kapitan Żbik” czy „Pilot śmigłowca”.

Odrabiam tedy zaległości i odkrywam, że ówczesne komiksy to nie tylko zabawne fabuły, nie tylko w niektórych przypadkach propagandowy osad, ale również zapis ówczesnych realiów. Mieszkaniowe perypetie rodzin Przesadów i Piekielnych z komiksów Szarloty Pawel korespondują z losami bohaterów takich filmów jak

„Filip z konopi”, „Alternatywy 4” czy „Nie ma róży bez ognia”. Co ciekawe, Jacek Fedorowicz, współautor scenariusza do tego ostatniego filmu wpisał się w historię polskiego komiksu opatrując rysunkami teksty Jana Marka Owińskiego w legendarnym, wydanym w 1984 w drugim obiegu zeszycie „Solidarność – 500 pierwszych dni”. To jedyne w swym rodzaju wydawnictwo dotykało bolesnych, ale i heroicznych aspektów „Peerelu”, nieobecnych rzecz jasna w oficjalnych wydawnictwach. W tych dostępnych wówczas w kioskach „Ruchu” czy księgarniach, odnajduję wszakże przemycane obserwacje wykraczające poza bolączki mieszkaniowe. Dacie wiarę, iż czasem stąkam po śladach znaczonej szeroko pojętą ekologią?

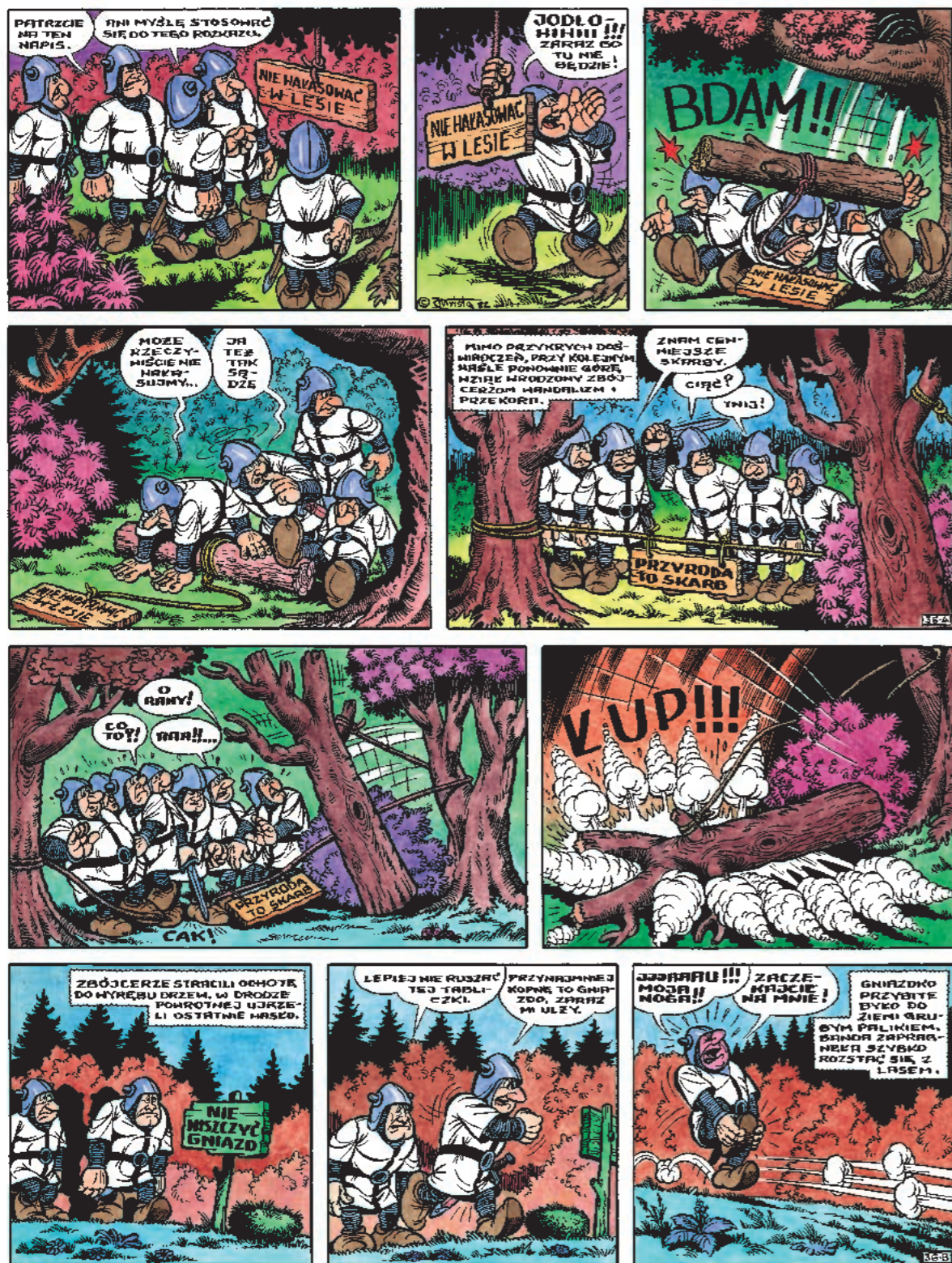
Powiadają, iż koszula bliższa ciału, nic więc dziwnego, iż podświadomie najpierw dostrzegam to, co związane z odpadami. W tej materii komiks tamtej doby ma wartość dokumentalną. W wydanej w 1969 roku IV księdze przygód Tytusa, Romka i A'Tomka („Tytus żołnierzem”) metalowe pojemniki na odpady, popularne 110-litrowe kubły, które dziś powoli odchodzą w zapomnienie, służą bohaterom za kozły na torze przeszkód podczas przygotowań podwórkowego wojska do obrony przed atakiem wojsk Lalusia spod „szesnastki”. Księga XVIII przygód Tytusa przynosi bliiski naturalistom obraz warszawskiego podwórka w Śródmieściu – o ścianę komórki stoją oparte odpady wielkogabarytowe – uszkodzony materac i drzwi od samochodu. Obok 1100-litrowego pojemnika leży tzw. przesyp, czyli nieczystości, które się w nim nie pomieściły. Nie bez przyczyny sięgnąłem po tych „naturalistów” – w tej opowieści środkiem do ucłowieczania głównego bohatera ma być malarstwo. Cóż, kiedy Tytusa widok przepelnionego śmietnika nie zachwyca. Nie zachwyca kompozycja, linie pionowe równoważące, wedle Papcia Chmiela, poziome. Nie zachwyca idealne zestawienie barw. Widać nie do końca odpowiednia to metoda ucłowieczania rezolutnego małopoluda, który może nie posiada duszy artysty, ale razi go bałagan na podwórku. Aż prosi się by to wykorzystać, ale mamy dopiero rok 1987 i nikt jeszcze nie myśli o segregacji odpadów. Nie myślą też o tym decyden- ci, którzy na początku tworzenia przez Henryka Chmielewskiego próbowali nań wpływać podsuwając dobrze widziane pomysły (stąd wizyta bohaterów na Kubie u Fidela Castro – gwoli



Janusz Chrysta - Dzień Śmiechały, str. 12 - 1983 r. - za zgodą wydawnictwa Egmont Polska Sp. z o.o.

sprawiedliwości Papcio Chmiel uchronił ich przed walką w barwach komunistycznej partyzantki w Angoli), bo też główną metodą radzenia sobie z odpadami było ich wywożenia na składowisko. Stąd w księdze VIII, w której Tytus zdobywa sprawność astronoma, samochód wywozący

gruz uprzątnięty przez harcerzy w ramach „Akcji Frombork 1969” zrzuca go w miejscu określonym, jako „wysypisko gruzu”. Ma ono formę wysokiej skarpy nad wykopem, zupełnie niezabezpieczonym, nieogrodzonym, co dziwić też nas nie powinno. Taka była rzeczywistość ówczesnych



Janusz Christa - Dzień Śmiechały, str. 38 - 1983 r. - za zgodą wydawnictwa Egmont Polska Sp. z o.o.

wysypisk lokowanych często... w środku lasu. Był to jednak również czas permanentnego niedoboru... wszystkiego, co było potrzebne, ale i czas niezwykłej zaradności. Jeśli współcześnie rozważamy hierarchię postępowania z odpadami, to rzeczywistość lat siedemdziesiątych

i osiemdziesiątych sama skłaniała do ponownego ich wykorzystania. Kiedy więc w księdze XI traktującej o ochronie zabytków Tytus, Romek i A'Tomek natrafiają na zrujnowaną dla pozyskania cegły budowlę, nie wywołuje to ich wielkiego zdziwienia „„Spóźniliśmy się! Zabytek nr 2 „ruiny

zamku z XIV wieku” – rozebrany na chlewiki!”.

Więcej emocji odnajduję w głosie profesora Nerwosolka, który w publikowanym w 1980 roku na łamach Świata Młodych komiksie Tadeusza Baranowskiego „Antresolka profesorka Nerwosolka” wyrusza wraz ze swoją asystentką Entomologią Motylkowską w kosmos. Dryfująca w przestworzach butelka burzy dobre samopoczucie wędrowców, którym zdaje się, iż mkną „w czarną otchłań, jak pierwsi żeglarze w otchłanie oceanów”. „Myślisz Entomologio, że ktoś już tutaj był przed nami narysowany?” pyta profesor, odsłaniając na dzień dobry charakterystyczne, błyskotliwe poczucie humoru autora. Nie ma tu euforii bohaterów zrealizowanej cztery lata później „Seksmissji” Juliusza Machulskiego („Nasi tu byli!”). Profesor okazuje się praktyczny wołając w pierwszym odruchu „Natychmiast zwracamy. Na ziemi dostaniemy za nią 8 złotych”.

Moją ulubioną historią obrazkową nawiązującą do sposobów radzenia sobie z odpadami jest krótka historia „Profesor Pechol odkrywa” narysowane przez... Szymona Kobylińskiego do drugiego numeru magazynu „Relax” z 1977 roku. Tytułowy naukowiec wraz z ekipą natrafia pod Krakowem na sensacyjne znalezisko. Pod ziemią w jaskiniach znajdują prawdziwe rzymskie mozaiki, rzeźby i zdobienia „niczym w domu Liwii na rzymskim Palatynie”. I kiedy profesor Pechol uradowany zdaje się spełniać marzenie swego życia, przez otwór w sklepieniu jaskini wpada struga śmieci zasypując znalezisko. Ostatni kadr komiksu pokazuje śmieciarki wyładowujące odpady z tekstem informacji prasowej „MPO i zakłady produkcyjne Krakowa wywożą śmieci dokąd się tylko da. Kraków bowiem nie ma wysypiska. Stare zostało zamknięte, a nowego nie wykończono.”

Większy zapał, niżli do radzenia sobie z odpadami, wykazywali bohaterowie naszych komiksów chroniąc przyrodę. Troska o nią, była z resztą głównym motywem wydanej w 1975 roku X księgi przygód Tytusa, Romka i A'Tomka. Pisząc te słowa przytaczam ich kolejne numery, ale przecież wówczas, gdy je czytałem, rozmawialiśmy o nich wymieniając nazwy pojazdów, które niosły ich ku przygodzie. W tej, przyszło im podróżować mielolotem. Wehikuł przypominający maszynkę do mielenie mięsa przeniósł ich do dżungli, gdzie chłopcy nieśli pomoc hipopotamowi, któremu wyrosły zbyt długie zęby. Zwierzak polewany przez

nich wodą ścierał je dygocząc z zimna. Bawiłem się wspaniale, smakując fantastyczne pomysły i serwowaną grę słów, gdy A'Tomek poszerzał wiedzę Romka o przyrodzie wyjaśniając, czym różnią się płazy od gadów („Płaz może puścić gada płazem, a gad nie może płaza zagadać”), nie mając świadomości, że winienem równocześnie podziwiać odwagę bohaterów. Hipopotam, okazuje się bowiem zwierzęciem bardzo niebezpiecznym – od jego ataków na świecie ginie rocznie niemal trzy tysiące osób. Tytus, Romek i A'Tomek ze spotkania z błotolubnym ssakiem wychodzą bez szwanku, ale już niedługo czeka ich kolejna przeprawa - lisi ród staje na czele buntu zwierząt pod hasłem „człękokszałtny niszczy przyrodę”. Bo też Tytus w swym przesadnym zapale, przechodząc wraz z przyjaciółmi przyśpieszony cykl rozwoju społeczno-gospodarczego (od epoki kamienia łupanego, przez etapy myślistwa, zbieractwa, rolnictwa i epokę żelaza po czasy wielkiej chemii) sprawia, iż sycająca dotychczas oczy zielenią dżungla żółknie, niedotleniony tygrys przysypywany sadzą z komina przypomina czarną panterę a rzeką, w której wyginęły ryby płyną odpady humuroliny. Z ojcowską pomocą przychodzi bohaterom niezawodny Papić Chmiel dorysowując oczyszczalnie ścieków i filtry na kominach i zapewniając, iż przyroda się odrodzi. Bajeczny świat komiksu pozwalał stwarzać coś, czego trudno było ówczesnie uświadczyc. Myślę o tym wspominając wijącą się przez Lublin Bystrycę, w której wodach nie sposób było się przejrzeć. Przypominała zawartość kubeczka, w którym maczaliśmy pędzel malując na lekcji plastyki farbami.

Dla Tytusa była to wszakże lekcja cenna, a na pewno zapamiętana. W jednej z moich ulubionych książeczek „Wyprawa na wyspy nonsensu”, odwiedzając w podróży slajdolotem krainę pełną samochodów przyjaciele wdają się w błyskotliwy dialog: „„widocznie osiągnęli tu szczyt szczęścia motoryzacyjnego. Jeden samochód przypada na 3/4 człowieka”, „... czyli jeden samochód wypada na człowieka bez głowy. Co ty pleciesz?”. Odważna konstatacja, w czasach, gdy znalezienie miejsca parkingowego na osiedlu nie stanowiło jeszcze żadnego problemu, ale byle jeżdzące cztery koła wyznaczały społeczny status. Innym razem w wydanej w 1982 roku księdze XV „Tytus geologiem” sympatyczny małpison poucza przywódcę krasnoludków „niszcząc

niepożyteczne zwierzęta, zachwiejcie równowagę naturalną przyrody i doprowadźcie do końca świata”.

Czy to wszystko? Bynajmniej. W księdze XII z 1977 roku nawiązującej do zapomnianej już dziś akcji „Bieszczady 40” (operacja „Bieszczady 40” rozpoczęta w 1974 roku miała trwać 10 lat i zakończyć się na czterdziestolecie PRL), której celem miało być propagandowe włączenie harcerzy w zagospodarowanie krainy połonin, druch de Zoo zostaje dowódcą patrolu straży ochrony przyrody. Werbuje doń bieszczadzkie misie rozmawiane w grze w karty obietnicą osobliwych poborów w postaci tygodniowego przydziału litra miodu, bezpłatnej opieki weterynaryjnej oraz urlopu wypoczynkowego w cyrku. Trudno powiedzieć, czy owa organizacja rzeczywiście zajmująca się kontrolowaniem przestrzegania przepisów ochrony przyrody w parkach i rezerwach zawdzięczała to Tytusowi, czy również społecznie zaangażowanemu Panu Samochodzikowi, ale w połacie lat siedemdziesiątych zrzeszała ponad 11 tysięcy członków.

Straż Ochrony Przyrody za patron winna była sobie obrać zbója Łamignata, który w krótkiej opowieści Janusza Christy „Koncert kaprała” zwraca się do Kajka i Kokosza „„Swoim wrzaskiem zakłóciłicie spokój w lesie. Płacicie mandat. Rekwiruję wasze łupy.”. Choć w świecie sympatycznych wojów nie on jeden stawał na straży natury. W cyklu „Szranki i konkury” publikowanym

w „Wieczorze Wybrzeża” w latach 1973-1974 – Kajko i Kokosz w poszukiwaniu żar-ptaka docierają do ziemi księcia Oleszy. Mieszka tam Ida, dawna kapłanka lasów i wód, która nie pozwala Kajkowi zerwać kwiatów połyskujących złotym blaskiem w wodzie świętego stawu. Ostrzega go wskazując na drewnianą tablicę z napisem „Książęcy rezerwat przyrody”. Ida okazuje się Tajnym Książęcym Inspektorem Ochrony Przyrody.

Z ostatnich stron „Świata Młodych”, tego kupowanego w osiedlowym kiosku w 1986 roku, pamiętam Dziada Borowego, który w „Dniu



Janusz Christa - W krainie borostworków - 1987 r.

śmiechały” tropi złoczyńców niszczących las i płoszących zwierzynę. Władca kniei i zwierząt, co za dnia przyjmuje postać niedźwiedzia, zaś nocą zmienia się w człowieka początkowo podejrzewa o owe nieczne uczynki Kajka i Kokosza. Ich jedyną szansą okazuje się pamiętny pojedynek na brzuchy na drzewie powalonym ponad leśnym jarem. Zwycięzca pojedynku ma prawo do życzenia. Dziad Borowy prosi ich więc, by przegnali z kniei sprawców dewastacji. Woje Mirmiła nieświadomi, iż za wszystkim stoją zbójcerze budujący maszynę obłączniczą, postanawiają odwołać się do świadomości ekologicznych nieznanymi szkodników. Wieszają więc w lesie tablice z napisami „Nie płoszyć zwierząt”, „Szanuj zieleń”, „Las to zdrowie” czy „Nie hałasować w lesie”. Trzeba przyznać wykonane bardzo zmyślnie i skutecznie włączające do głowy ekologiczny przekaz, o czym przekonał się Hegemon i jego podwładni.

I jeszcze perypetie Kajka i Kokosza „W krainie borostworków”. Na ziemi, na którą zawędrowali w poszukiwaniu pani przyrody, która jako jedyna może sprawić by do studni w grodzie Mirmiła powróciła woda. Uosabia ją mała brzoźka rosnąca na wzgórzu w najdalszych ostępach puszczy otoczona strażą wiernych acz strasznych borostworków. W tej krainie nie stanęła jeszcze stopa człowiek, a jednak leśny strach w swym złym śnie dostrzeże zmierzających doń ubranych w waciaki drwali z siekierami i piłami mechanicznymi. Borostworka Busiana odczyta ów sen jako zapowiedź nadejścia cywilizacji, która „nie boi się niczego” i „zniszczy wszystkie borostworki”.

Wszystko to baśnie, ale... w domniemanych czasach Kajka i Kokosza (Arkadiusz Florek w „Świecie dzielnych wojów” interesującym wywodem osadza akcję albumów w latach 1002 – 1007) Bolesław Chrobry zakazał polowania na bobry w dobrach królewskich, powołując dodatkowo urząd opiekującego się nimi bobrownika. Przeszło czterysta lat później Władysław Jagiełło wprowadził ograniczenia w wyrębie cisów oraz ustanowił okres ochronny dla zwierzyny łownej. Za Zygmunta Starego w 1523r. podjęto decyzję o ochronie sokoła i łabędzia, i kolejne o ochronie bobrów, żubrów i turów. Tych ostatnich niestety nie udało się uratować. Ostatni na świecie tur padł w Puszczy Jaktorowskiej w roku 1627. Nie było rzecz jasna w czasach dzielnych wojów rezerwatów przyrody. Przyszło na nie

jeszcze długo, długo czekać. Pierwszy rezerwat przyrody powstał we Francji w 1852 r., pierwszy park narodowy w Stanach Zjednoczonych w roku 1872.

Piszę o tym wszystkim z nieukrywaną nostalgią a jednocześnie mam świadomość, że choć albumy z bohaterami mojego dzieciństwa zalegają dziś półki w księgarniach nie zawładną już w takim stopniu wyobraźnią młodszych pokoleń. Tak jak nikt nie komentuje już w pracy ostatnio obejrzanego filmu, tak jak nikt nie żyje wynikami ostatniego etapu kolarskiej włóczgi. Tak wiele do wyboru, tak wiele wrażeń... Tak mało czasu...



Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów
Adama Przystupy
można przeczytać
na stronie
www.kom-eko.pl/felietony



Zapomniana gra podwórkowa.

Są tacy, którzy twierdzą, że w internecie znaleźć można wszystko, w przypadku „przeciąganek” się mylą.

ADAM PRZYSTUPA

To musiał być rok 1983. Moja pamięć działa na zasadzie skojarzeń, a to co zostało z tamtych dni, to wspomnienie transmitowanych w telewizji pierwszych Mistrzostw Świata w lekkiej atletyce. Emocjonujący i zwycięski bój o złoto naszego trójskoczek Zdzisława Hoffmana z Amerykaninem Willie Banksem musiał być tematem chłopięcych rozmów pod blokiem, skoro przygasły przy nim inne emocje. Zresztą, dwa programy telewizji oglądaliśmy jedynie z doskoku, niemal całe lato spędzając na dworze. Sposobów na to by wakacje w mieście nie przesiąkły nudą był ogrom, co dzisiejszą młodzież dziwi niezmiernie, zwłaszcza gdy słyszą, iż nie było wtedy ni telefonów komórkowych, ni komputerów. Jeszcze nic nie mówiły nam wtedy takie nazwy jak Atari czy ZX Spectrum. Dziś imiona pierwszych domowych komputerów nic nie mówią naszym dzieciom.

Był więc rok 1983. W Helsinkach Zdzisław Hoffman skakał w dal na trzy raty, co my chłopcy z Kalinowszczyzny staraliśmy się naśladować. Efekt daleki był od ideału, ale nie jest łatwo oddać skok do piaskownicy odbijając się po trzykroć w biegu na usianym piaskiem asfalcie. Znacznie lepiej szła nam gra w przeciąganki. Nie była to, jak można by sądzić, klasyczna próba sił, w której dwie grupy osób ciągną sznurek czy linę. Nie, mianem przeciąganek, my chłopcy z Kniewskiego 4 zważyliśmy grę zupełnie dziś zapomnianą.

Jeśli są tacy, którzy twierdzą, że w internecie znaleźć można wszystko, w przypadku „przeciąganek” się mylą. Jest tam gra w klasy, w gumę, w jedno podanie, w noża, w dołek, są tam hacele, nawet puszczanie bączków napędzanych

mieszanką cukru i saletry, ale po „przeciągankach” ani śladu. A przecież była, czego świadkiem nasze zbite łokcie i kolana, przedarte ku utrapieniu naszych mam na owych kolanach spodnie. Miałem szczęście mieszkać w dziesięciopiętrowym wieżowcu, gdzie na 66 mieszkań było bodajże czternastu chłopaków... Raz jeszcze szybko przebiegam pamięcią: parter – Marek i Krzysiek, pierwsze – Leszek, drugie – bracia Adam i Jacek, czwarte – ja i Tomek, piąte – Bogdan, szóste – Rafał, Robert i Grzesiek, ósme – Paweł przez wszystkich zwany „Saszka”, dziewiąte – Marek zwany „Aniołem”, wreszcie na samej górze – Artek. Czternastu i ledwie cztery lata różnicy między najmłodszymi a najstarszymi. Ale to nie miało w istocie znaczenia. Gdy na asfalcie przed blokiem rysowaliśmy kredą pole do gry, zdarzało się, że do rywalizacji stawali z nami kolejni - ci, którzy na co dzień mieli już inne poważniejsze zajęcia. Choć trudno w to uwierzyć do rywalizacji stawali pospołu dziesięcio i osiemnastolatki.

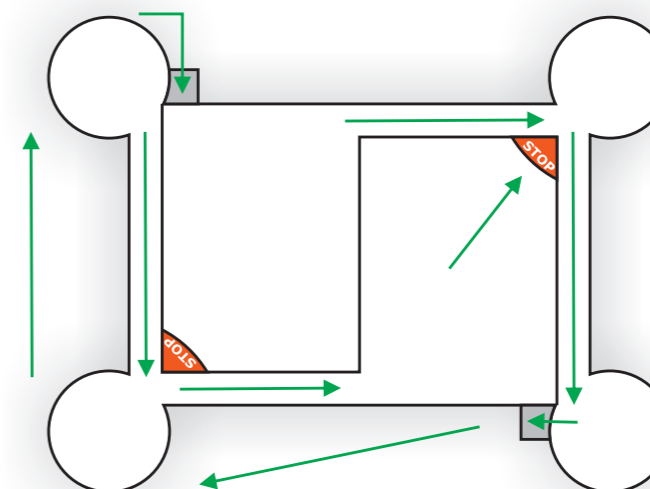
Jako się rzekło kreśliliśmy kredą pole gry. Spójrzmy na ilustrację. Dwa przytulone prostokąty, którym przyklepiono na pozór groteskowe półkola na kształt uszu tworzą pola przynależne do dwóch drużyn. Nie pamiętam by określona była jakaś utarta liczba zawodników. Zwyczajowo drużyny liczyły tyle samo graczy, choć nie musiało być to regułą. W jednym z kątów każdego z pól umieszczone jest miejsce oznaczone napisem „stop”. Celem każdej z drużyn jest zdobycie tego miejsca na polu przeciwnika, a dokładnie postawienie własnej stopy na tym bronionym przez niego skrawku placu. By tego dokonać trzeba

się tam przedostać droga znaczoną na ilustracji. Tylko z pozoru jest to łatwe. Korytarz przyległy do pola przeciwnika nie jest szeroki. Zmieścić może się na nim nie więcej niż jedna osoba. Trzeba nim przebiec tak sprytnie by nie dać wypchnąć się poza linię korytarza przez zawodników przeciwnika. Będą próbować wypychać lub wciągać na swoje pole. Nie wolno uderzać. Postawienie choćby jednej stopy poza wyznaczonym torem eliminuje gracza z rozgrywki. Nie pamiętam by komukolwiek udało się za jednym razem obiec pole przeciwnika. Pomoc, chwilę na złapanie oddechu, uśpienie uwagi rywali niosą owe półkola, w których jeśli się dobrze ustawi gracz pozostaje chwilowo poza zasięgiem ramion przeciwników. Ale i na to jest sposób. Pamiętajmy, iż decydujące o pozostaniu w grze jest położenie naszych stóp. Nieraz broniąca drużyna próbowała wyłuskać napastnika w sposób cokolwiek ekwilibrystyczny. Jeden z obrońców z poświęceniem kładł się na ziemi, tak by swe stopy pozostawić na własnym polu (dla bezpieczeństwa trzymając za kostki asekurował go drugi z zawodników) a rękami chwycić nogi przyczajonego delikwenta. Ów sadył tedy susami przed siebie by dopaść tzw. wycieraczki, której nadeptanie pozwalało wyjść poza pole gry i zasięg dłoni drużyny przeciwnej. Teraz czekała go druga połowa zadania – atak na pole przeciwnika.

By dostać się do środka poprzez drugą z „wycieraczek” wchodzimy do drugiego korytarza i pod osłoną zawodników ustawionych na naszym własnym polu przygotowujemy atak. Drużyna broniąca sięga wówczas po argumenty

sprawiające, że chciałoby się nazwać tę grę „przepychankami”. Niedozwolone jest powalanie przeciwnika na ziemię. Oglądamy raczej zapaśnicze próby zablokowania, wypchnięcia z pola czy wręcz wyniesienie za linię przeciwnika. Ale w tej fazie gry atakujących jest zwykle kilku, więc ostatecznie liczy się szybkość. By postawić stopę w miejscu dającym wygraną przedrze się wreszcie któryś biegiem, niczym tyczki slalomowe mijając obrońców.

Nie sposób dziś dociec, skąd owa gra przywędrowała na lubelską Kalinowszczyznę. Z pokorą nie zakładam bowiem, byśmy to my dali jej początek. A może się myłę. Może to nasi starsi koledzy, którzy później nie patrząc na różnicę wieku do gry się przyłączyli? A może po prostu zasilali nasze szeregi trawieni ciekawością, co też skłaniał blokową młodzież do takiego zaangażowania? Bo w grze w „przeciąganki” było miejsce dla wszystkich. I tych o silnych nad wiek ramionach i dla tych, którym póki co poskąpiono siły i wzrostu, ale obdarzono zwinnością i chyżością niezwykłą. Każdy miał tu do odegrania swoją rolę i bynajmniej nie najważniejsza była tu siła fizyczna. Liczył się spryt, umiejętność planowania, odwrócenia uwagi, dekoncentracji rywala, a czasem taktycznego poświęcenia własnego zawodnika. Wbrew temu, co można by sądzić, na pewno nie nauczyła nas rozpychania się łokciami i może dlatego pozostaje dziś zapomniana.



Schemat - Redakcja.

SPOŚRÓD NUT WYSORTOWANE ADAM PRZYSTUPA

OSTATNI TANIEC

Gawędząc o piosenkach sięgałem już po te, które zwykły otwierać weselne biesiady, ale nie mniej ciekawie bywa gdy impreza ma się ku końcowi. Repertuar bywa rzecz jasna równie różnorodny, ale zauważmy jeśli spytać o piosenkę wieńczącą wesele trudno o odpowiedź. Nie każdy rzecz jasna ma w sobie tyle determinacji by do końca dotrzymać kroku młodej parze. Część z nich ze względu na podsypaną już po oczepinach dziatwę zmuszona jest wybyć do domu. Winien ich żegnać „Przedostatni walc” Wojciecha Młynarskiego kołyszący niezapomnianymi słowami:

„...Trzeba wiedzieć,
kiedy w szatni
Płaszcz pozostał
przedostatni
I że to już przedostatni
walc...

Nim skrzypną drzwi,
nim podam Ci
Okrycie wierzchnie,
Ty wczuć się chciej
w smak chwili tej,

Co zaraz pierzchnie,
Zaraz pierzchnie...”

Wielu z tych, którzy sprościli wyzwaniu do końca smakując zabawę w zadziwiający sposób zawodzi pamięć. Zda się, że jak owa chwila pewne kadry z niej pierzchnęły bezpowrotnie. W takich wypadkach nie pomaga nawet wspólne uzgadnianie zeznań przez wspominających biesiadę, bo najczęściej bywają one sprzeczne. Często prawdziwym kołem ratunkowym bywa przebój grupy Lombard, ale i on nie rozwiewa wątpliwości. Niepewność i wahanie niosą już pierwsze słowa kreślone przez Leszka Pietrowiaka - „To chyba nasz ostatni taniec...”. Z naciskiem na „chyba”. Czasem któryś z pytanym błysnie erudycją twierdząc iż wesele kończyła „Pieśni Chochola” pod piórem Stanisława Wyspiańskiego skrzęsana, ale wierzyć temu nie trzeba bo intonować panu młodemu „miałeś chamie złoty róg...” mógłby jedynie klub za przysięgłych kawalerów.

A jednak ostatni taniec ma znaczenia o czym pamiętał swego czasu Doc Pomus. Kto zacz zapytacie? Naprawdę nazywał się Jerome Solon Felder. Urodzony w 1925 roku na Brooklynie żydowski

chłopiec, przyjął ów przydomek gdy zafascynowany bluesem zapragnął występować w klubach Nowego Jorku. Miał talent i wiele odwagi. „Biały” chłopak mierzył się z „czarną” muzyką w czasach gdy kolor skóry dla obu stron miał niebagatelne znaczenie. Miał talent i wiele odwagi bo na bluesowej scenie zaakceptowano jego odmienność i niepełnosprawność (u progu lat pięćdziesiątych był prawdopodobnie jedynym białym bluesmanem w Stanach Zjednoczonych). Przed publicznością stawał Doc Pomus wsparty na dwóch kulach co było pokłosiem przebytej w dzieciństwie choroby o raz nawracającego po latach zespołu Post-Polio. Z czasem choroba osadziła go na inwalidzkim wózku co nie przeszkodziło mu rozwijać innego talentu. W 1957 roku stworzył z trzynastu lat młodszym Mortem Shumanem jedną z bardziej płodnych i skutecznych w produkcji przebojów spółek autorskich. Doc pisał teksty, Mort (również urodzony na Brooklynie w rodzinie żydowskich emigrantów z Polski) nuty. Dość powiedzieć, iż za ich sprawą Elvis Presley miał szansę zaśpiewać „Surrender”, „Little Sister”, „A Mess Of Blues”, „His Latest

Flame” czy „Viva Las Vegas”, Andy Williams „Can't Get Used To Losing You”, zaś The Drifters „Sweet For My Sweet”. Właśnie The Drifters, święcąc w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych grupa wokalna miała stać się wykonawcą chyba największego przeboju Pomusa i Shumana – piosenki „Save The Last Dance For Me”.

Ostatni taniec zachowaj dla mnie... Skąd taki tytuł? Pomysł zakiełkował w głowie autora na jego własnym weselu. Przykuty do inwalidzkiego wózka spoglądał jak panna młoda aktorka Willie Burke roześmiana obdarza kolejnymi tańcami weselnymi gości. Biesiadne zabawy pozostawały poza zasięgiem jego fizycznych możliwości. Podobno nim świt żegnał weselnym gości tekst piosenki był gotowy...

„Możesz tańczyć każdy
taniec z mężczyzną
który zaprosi Cię
spojrzeniem
Możesz w tańcu pozwolić
mu się mocno przytulić
Możesz uśmiechać się

każdym uśmiechem
jakim potrafisz
Do mężczyzny, który
trzyma twą dłoń
w bladym świetle
księżycy
Ale nie zapominaj kto
zabiera Cię do domu
I w czyich będziesz
ramionach
Więc skarbie, ostatni
taniec zachowaj dla
mnie...”

Zazdrość? To chyba zbyt proste wytłumaczenie. We wspomnieniach Pomusa pojawia się ślad czegoś co nazwalibyśmy mezaliansem. Otoczenie panny młodej, pięknej blond aktorki udzielającej się na teatralnych scenach Broadwayu z zażenowaniem patrzyło na jego plebejskie dokonania.

„Ja wiem, ta muzyka
upaja jak musujące
wino
Więc idź i dobrze się
baw, śmiej się
i śpiewaj

Ale gdy będziemy
z dala od siebie
Nie oddawaj nikomu
swego serca
I nie zapominaj kto
zabiera Cię do domu
W czyich będziesz
ramionach
Więc skarbie, ostatni
taniec zachowaj
dla mnie...”

Po The Drifters sięgało po tę piosenkę wiele osób – gwiazdy country Dolly Parton i Emmy Lou Harris, Ike i Tina Turner, Elvis Presley, Tom Jones, Bob Dylan, John Lennon w duecie z Harry Nilsonem, Paul Anka, Bruce Springsteen, śpiewający aktor Bruce Willis czy współczesny gwiazdor Michael Bublé. W istocie łatwiej byłoby pisać kto nie próbował się z nią mierzyć. Mnie intryguje inny fakt. Prośba o ostatni taniec była ostatnią piosenką wykonaną na scenie przez Leonarda Cohena. Ten, który zaklinał by tańczyć po kres miłości żegnał się nią z publicznością 21 grudnia 2013 roku w australijskim Auckland...





Barwny świat dirt-tracka

ADAM PRZYSTUPA

Są miejsca, gdzie nadejście wiosny wróży nie tylko zieleń, co spod grudy śnieżnej się wychyla, nie tylko ciepły wiatr, co z głębi piersi zimową gnuśność wymiata, nie tylko słońce, co sprawia, że nagle buty, co z lodem się mierzyły za ciężkie się zdają a ciepła kurtka lgnie do grzbietu. Są miejsca, gdzie jej zwiastunem pomruk motocykli bywa. W mieście, gdzie mnogość dźwięków, nie każdy go rozpozna, nie każdy właściwie znaki odczyta. Ale ten, co zimę całą go czekał, wśród innych tonów wyłowi. Spragniony wieści, spragniony – co postronnym obserwatorom wyda się irracjonalne – owej przedziwnej zapachowej nuty, co w okolicach owalnego toru się unosi. Toru, po którym zwykło się ścigać już od lat tylko w lewo. Właśnie... od ilu to już lat?

Na betonie, obok kłusaków, w beczech śmierci...

Pomysł by ścigać się na motocyklach po owalnym torze zakiełkował jeszcze u schyłku XIX stulecia. Jak podaje w swojej książce „Dirt-track. Żużel lat przedwojennych” Maciej Węgrzyn, pierwsze udokumentowane zawody na płaskim torze, o luźnej ziemnej nawierzchni zwanym Sheen House odbyły się w 1897 roku w angielskim Richmond. Nie był to jeszcze żużel, nie był to jeszcze dirt-track, jak przed laty zwano ten rodzaj rywalizacji (nie trudno się domyślić, iż nazwa korespondowała z tumanami kurzu unoszącymi się nad zawodnikami). Początek XX wieku przyniósł dynamiczny rozwój różnych sportów

motorowych w Stanach Zjednoczonych, wśród których dużą popularnością cieszyły się wyścigi na torach o... nawierzchni drewnianej. Mówiono o nich welodromy albo motodromy. Początkowo ich łuki były nachylone do wewnątrz pod kątem 25 stopni, później nawet do 60, co umożliwiała rozwijanie dużych prędkości sięgających około 96 km/h. Kto chciałby zmierzyć się z podobnym wyzwaniem, może spróbować jazdy na torze kolarskim w Pruszkowie, choć jego łuki nachylone są „ledwie” po kątem 42 stopni. Można więc domyślać się, iż amerykańska publiczność przeżywała przed wybuchem I wojny światowej emocje zbliżone do tych, które towarzyszyły pokazom w tzw. „beczkach śmierci” wędrujących jeszcze w latach osiemdziesiątych przez Polskę z karawanami „wesołych miasteczek”. Napisałem zbliżone, a przecież tam ścigało się zwykle dwóch zawodników, co nie zawsze kończyło się szczęśliwie. Po śmierci w 1912 roku w wyniku obrażeń odniesionych na torze Kanadyjczyka Jacka de Rosiera dziennikarz New York Timesa przezwał drewniane tory „murderdromami”. Mimo to organizowane na nich wyścigi przyciągały tłumy widzów od New Jersey po Los Angeles. Niebawem ich popularność sięgnęła Australii. Na Antypodach na motocyklach ścigano się zresztą już wcześniej wykorzystując m.in. tory do wyścigów konnych, co istotne z uwagi na fakt, że to właśnie tu miał narodzić się żużel w formule zbliżonej do tej, jaką znamy dzisiaj.

Jan Bathelt na torze w Chorzwowie 1936 r. Ze zbiorów NAC.

Atrakcja wystawy rolniczej...

Ścigano się więc na różnych dystansach, na różnych motocyklach, różnych nawierzchniach, ku ucieście naprawdę licznej publiczności. Wszystko to jednak było tylko namiastką, czasem tzw. pra-żużla. Narodziny tego właściwego, wiążą się z osobą Nowozelandczyka Johnnie Hoskinsa, który w poszukiwaniu pracy i szczęścia wyemigrował na kontynent. W Australii miał się różnych zajęć. Był farmerem, bokserem, marynarzem, telegrafistą, aż wreszcie została sekretarzem Towarzystwa Rolniczego i Ogrodniczego w West Maitland, małej miejscowości w Nowej Południowej Walii. Hoskins jak wielu młodych ludzi był zafascynowany motoryzacją i swoją pasję postanowił sprząc z działalnością instytucji, w której pracował. Kiedy towarzystwo poszukując dochodów postanowiło zorganizować wystawę rolniczą okraszoną różnymi atrakcjami, przekonał swoich przełożonych by obok konkursu gołębi pocztowych, rodeo, wyścigów konnych czy rywalizacji lekkoatletów zorganizować wyścigi motocyklowe na krótkim owalnym torze. Przygotowania trwały blisko dwa miesiące. W próbnym jeździe brał udział sam pomysłodawca dosiadający swojego wysłużonego Trumphę, ale na starcie zawodów, które odbyły się 15 grudnia 1923 roku nie stanął. Areną zmagania reklamowanych jako „Electric Light Carnival” (tak, tak, pierwsze w historii wyścigi na żużlu odbyły się w blasku sztucznego oświetlenia) był tor wyścigowy dla kłusaków liczący 1/3 mili. Na dzisiejsze standardy tor był dość długi, ale nie tylko to różniło te zawody od współczesnego speedway’a. Ścigano się na dystansie sześciu i dwunastu a nie czterech okrążeń toru, w każdym biegu rywalizowało nie czterech a sześciu śmiałków, zaś rozpoczęcie wyścigu sygnalizowała nie maszyna startowa a wystrzał z rewolweru. Jak pisał w swoich wspomnieniach Johnnie Hoskins, większość zawodników stanęła na starcie bez kasków, rękawic, czy chroniących oczy okularów. Nikt nie słyszał też wtedy o skórzanych kombinezonach (współcześnie używane włókna kevlarowe wynaleziono dopiero w 1965 roku, do speedway’a zawitały zaś dopiero u schyłku lat dziewięćdziesiątych), choć brzmi to niewiarygodnie ówczesny zawodnik zadawał szyku podwijając rękawy u koszuli. Startowano na motocyklach o różnej pojemności, stąd by wyrównać szanse zawodników zastosowano swoisty system

handicapowy, polegający na wypuszczaniu ich z linii startu w odstępach czasowych. Zwycięzca pierwszego historycznego wyścigu Bill Crampton na Nortonie ruszył 10 sekund po Charlie Datsonie na motocyklu Harley Davidson, a trzeci na mecie S. Pinfold na Douglasie startował ostatni z opóźnieniem 45 sekund. Sądząc po wynikach, wyścig musiał obfitować w to, co kibice speedway’a cenią najbardziej - walkę i wzajemne wyprzedzanie się zawodników. Zważywszy przy tym, iż obowiązywał ich zakaz... podpierania się nogami na łukach, a seryjne motocykle wyposażone w podnóżki ryły darń toru powodując upadki.

Ach, ten ślizg...

Pomysł by ścigać się na owalnym, ziemnym torze wypalił. Szybko zrezygnowano wszakże z zakazu podpierania się przez zawodników na łukach nogami. Zawody gromadziły na trybunach tysiące kibiców, jak grzyby po deszczu w Australii powstawały nowe tory. Dla historii sportu żużlowego szczególne znacznie miał ten w Newcastle, zwany Hamilton Speedway. To właśnie od niego zaczerpnięto nazwę, która pozwoli ze słownika kibiców i żurnalistów wypierać określenie „dirt-track”. Tor w Newcastle, jak pisał nieodżałowany Władysław Pietrzak, był bardzo twardy i źle przyjmował wodę, co powodowało, iż wokół stale wznosiła się chmura kurzy i pyłu. Ponoć spacerując plażą Johnny Hoskins zauważył, iż luźny, gruboziarnisty piasek dobrze utrzymuje po odpływie wilgoć, co podsunęło mu pomysł by podobnym materiałem wyłożyć nawierzchnię, po której ścigać będą się zawodnicy. I rzeczywiście ułożenie warstwy czerwonego ilastego łupka, dało wytchnąć zarówno widzom, jaki i zawodnikom. Aby uchronić tych pierwszych przed pyłem i fragmentami wyrzucanej spod kół nawierzchni, tory zaczęto obudowywać płotami, które z czasem przybrały formę współczesnych band. Co ciekawe, płot bywał też użyteczny zawodnikom, którzy wynoszeni na łukach siłą odśrodkową powracali na właściwy tor jazdy odpychając się od niego nogami.

Wracając do nawierzchni. Rozwiązanie, które sprawdziło się na Hamilton Speedway poczęto przenosić na inne tory, co sprawiło, iż zawodnicy dość szybko zauważyli, że luźny, sypki materiał pod kołami daje możliwość jazdy z uślizgiem tylnego koła. Pierwszy technikę ślizgu kontrolowanego odkrył Amerykanin Maldwyn Jones. Kiedy wprowadzono ograniczenie pojemności silników

do 500 cm³ zauważył, że przy mniejszej mocy silnika łuki toru można pokonać płynnie podpierając się lewą nogą i wykonując balans ciałem. Wyglądało to jednak inaczej niż dzisiaj, bo Jones i jego naśladowcy stosując tzw. technikę leg trailing w istocie ciągnęli lewą nogę po torze. Chwilami można było mieć wrażenie, iż pokonując łuki podpierali się... kolanem. Z czasem „leg trailing” został zastąpiony stylem, w którym zawodnicy podpierając się na łukach wystawiali lewą nogę do przodu. Ów styl jazdy nazwano „foot forward” i wydawało się, że będzie królowała już zawsze. Tymczasem przeszło pół wieku później na brytyjskich torach pojawiają się bracia Kelly i Shawn Moranowie prezentując iście ekwilibrystyczny styl jazdy. Aktywnie operując manetką przepustnicy, balansować będą na motocyklu w ogóle nie podpierając się nogą. Przewieszeni niemal całym ciałem po lewej stronie motocykla przypominają będą pionierów speedway’a.

Efekt śnieżnej kuli...

Napisałem o brytyjskich torach, bo w 1928 roku żużel zawędrował na Wyspy. „Daily Mirror” z dnia 20 lutego donosił na pierwszej stronie „Motocyklowe wyścigi dirt-track, sport popularny w Australii, w której rywalizuje z wyścigami chartów, był wczoraj oglądany po raz pierwszy w Anglii na torze Kings Oak w High Beach. Wielkość tłumu była niespodzianką”. Rzeczywiście, by zobaczyć ową nowinkę zjawiło się 30 tysięcy widzów. Zaskoczony organizator zawodów Jack Hill-Bailey miał powiedzieć „Wprawiliśmy w ruch śnieżną kulę i tylko bogowie wiedzą gdzie się ona zatrzyma” i rzeczywiście po sukcesie inauguracyjnych zawodów żużlowe tory zaczęły się pojawiać niczym grzyby po deszczu. Żużel podbił serca Anglików. Na zawodach wypadało bywać. Stadion odwiedzał m.in. książę Jerzy, szwedzka księżniczka Ingrid czy król Hiszpanii Alfonso. O dziwo, początkowo na widowni przeważały kobiety, co skłoniło wydawców czasopisma „Speedway Express” do przygotowania specjalnej kolumny, na której prezentowano m.in. wieści dotyczące mody obowiązującej na widowni. Panie pojawiały się także na torze. Skutecznie z mężczyznami rywalizowały m.in. Fay Tylour i Eva Asquith. Duże znaczenie dla popularności speedway’a miała decyzja Arthura Elvina dyrektora Empire Stadium Wembley o otwarciu dlań bram stadionu. Właśnie tam nieprzerwanie od 1936 do 1960 roku rozgrywano finały

Indywidualnych Mistrzostw Świata. Drugim ważnym wydarzeniem było powołanie w 1929 roku rozgrywek ligowych. Formuła wprowadzona w piłce nożnej w 1888 roku szybko sprawdziła się na torach dirt-tracka. W międzyczasie speedway zdobywał fanów na całym świecie. Ścigano się w Polsce, Niemczech, Danii, Holandii, Norwegii, Szwecji, Czechach, Rosji a nawet w tak zdalonych egzotycznych miejscach jak Singapur, Fidzi, Argentyna, RPA czy Egipt.

Z pierwszych stron gazet...

Dzisiejsi mistrzowie speedway’a mogą tylko pozazdrościć popularności gwiazdom dirt-tracka. Co prawda u progu lat czterdziestych w restauracji lubelskiego hotelu „Unia” kelnerka na widok Hansa Nielsena upuściła filiżankę, ale „Profesor z Oxfordu” nie był zmuszony uchodzić z lokalu tylnym wejściem, co było częstym udziałem jednego z najbarwniejszych zawodników lat trzydziestych – Toma Farndona. Fotosy człowieka, który jak mawiał żużlowcem został dla hecy, a którego prawdziwym niespełnionym marzeniem była kariera zawodowego dżokeja, zdobyły witryny londyńskich domów towarowych. Kobiety kochały go ze względu na urodę, mężczyźni za skuteczną jazdę, której ukoronowaniem było zwycięstwo w 1933 roku w turnieju Star Championship, protoplaście rozgrywek o tytuł mistrza świata. Powiadano, iż Farndon nie robił zakupów, gdyż wszystko otrzymywał od swych fanów i sponsorów w prezencie. Jego popularność pomnożył występ w filmie. W komedii „Britannia of Billingsgate” Farndon wystąpił obok innego ówczesnego gwiazdora speedway’a – Rona Johnsona. Ów prowadził żywot prawdziwego celebryty mieszkając w najdroższym hotelu w Londynie i na wszystkie spotkania dojeżdżając taksówkami. Przykładając dzisiejszą miarę, można by rzec, iż w podobnej roli poza torem odnajdywał się brązowy medalista Mistrzostw Świata z 1937 roku Amerykanin Cordy Milne. Uwagę czytelników prasy bulwarowej przyciągał nie tylko jako sportowiec, ale i jako mąż gwiazdy kabaretów i burleski Marie Van Schaack znanej, jako Lili St. Clair. Miarą popularności australijskiego mistrza świata z 1938 roku Blue Wilkinsona była jego podobizna umieszczona w słynnym Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud w Londynie.

Każdy barwny, a każdy inny...

Każdy z nich na swój sposób przydawał barwy dirt-trackowi. Wilkinsona, który swój

mistrzowski tytuł zdobył startując z opatrunkiem gipsowym na obojczyku, uznać można za patrona kolejnych straceńców przesadnie ryzykujących zdrowiem na torze. Idąc w jego ślady Anglik Peter Collins w 1977 roku podejmie na stadionie Ullevi w Goeteborgu próbę obrony zdobytego przed rokiem tytułu mistrza świata z kontuzją stopy w specjalnie skonstruowanym bucie. Desperata, który poruszał się o kulach dosłownie wsadzano na motocykl, bo sam nie mógł go dosiąść. Na ciężkim, rozmiękłym torze sił starczyło na srebrny medal. Rok wcześniej w finale Drużynowych Mistrzostw Świata na londyńskim White City Zenon Plech walczyć będzie wraz z kolegami z reprezentacji Polski, mimo obficie krwawiącej rany nogi. Nie chcąc sprawić zawodu do końca zawodów jeździć będzie w wypełnionym krwią butem. Brawurowe, na granicy rozsądku a jednocześnie przemawiające do wyobraźni przykłady. Ale co w takim razie powiedzieć o Georgu Newtonie, następcy wspomnianego tu Toma Farndona w drużynie New Cross, który powrócił na tor po leczeniu gruźlicy, jeżdżąc jeszcze po czterdziestce bez lewego płuca i żeber.

Publika kochała nie tylko wielkich mistrzów w rodzaju Vica Huxleya, Jacka Parkera, Blue Wilkinsona, Lionela Van Pragga, Cordy i Jacka Milne, Erica Langtona czy Wilbura Lamoreaux. Zawładnąć wyobraźnią potrafił Australijczyk Bill Lamont, ulubieniec stadionu przy Plough Lane ochrzczony przez prasę, za sprawą umiejętności jazdy ślizgiem kontrolowanym na pełnej prędkości motocykla, mianem „człowieka z miesiącem życia przed sobą”. Równie barwnego określenia „król kraks” doczekał się Anglik Phil Bishop, który

swą brawurową jazdę okupił ponoć blisko 400 upadkami. Jego rodak Frank Charles oprócz jazdy na motocyklu żużlowym grał na akordeonie i tą umiejętnością zabawiał kibiców na Wembley podczas przerw między wyścigami. Miał ponadto poczucie humoru – gdy podczas zawodów sędzia nie przerwał rywalizacji mimo burzy, jaka rozpełtała się nad stadionem, wyjechał do wyścigu z parasolem, który rozpiął w czasie jazdy. Po parasolkę sięgnęła, też... matka jednego z przeciwników Vica Huxleya, by wymierzyć mu sprawiedliwość po jednym z wyścigów, w którym pokonał jej syna. Pobity w parku maszyn Australijczyk, rzadko znajdował pogromców na torze – wygrał blisko 5 tysięcy wyścigów i posiadał rekordy wszystkich torów na Wyspach, nie miał wszakże szczęścia do mistrzostw świata zdobywając jedynie ósme miejsce.

Nie sposób nie wspomnieć i o innych. O Harrym Shepardzie z Crystal Palace, za którego sprawą (pospołu z promotorem Fredem Mockfordem) na torach wzorem wyścigów konnych pojawiła się maszyna startowa z unoszącą się do góry taśmą. O Rayu Tauserze z Wimbledon Dons, który w roku 1928 zza oceanu przeniósł na brytyjskie tory modę na jazdę z chustą na twarzy. Wreszcie o Billi Dallisonie z drużyny Southampton, który w roku 1928 podczas zawodów na torze w Wolverhampton poprosił o powtórzenie wygranego, finałowego wyścigu, w którym zdefektował motocykl przeciwnika – Harrego Tafta. Powtórzoną gonitwę co prawda przegrał, ale jego wspomnienie zda mi się dzisiaj powiem wiosny....



Na torze w Sydney 1936 r. Ze zbiorów NAC.

Z WODĄ W ZAWODY

Szukając swego miejsca na ziemi człowiek stawia czoła żywiołom.

Bywa, że z pomocą przychodzą mu... odpady.

ADAM PRYSTUPA

Siła żywiołu

Pamiętam, że na lekcjach geografii koronnym dowodem na siłę morskiego żywiołu, który zwykł wykradać fragmenty lądu, był kościół w Trzęsaczu. W nadmorskiej wsi położonej niemal na samym południku, który na mapach kreśli granicę środkowoeuropejskiej strefy czasowej, stoją dziś na skraju urwiska ruiny gotyckiego kościoła pw. św. Mikołaja. W istocie stoi tam, już tylko południowa ściana świątyni, którą na przełomie XIV i XV wieku postawiono pośrodku wioski, jakieś 2 km od brzegu morza. Z biegiem lat morze coraz bardziej przybliżało się do kościoła. W połowie XVIII stulecia odległość ta wynosiła 58 metrów, po upływie kolejnych stu lat w 1855r. Bałtyk zbliżył się do drzwi świątyni ledwie na 5 metrów. W nocy z 8 na 9 marca 1901 runęła północna ściana kościoła. I tak rok po roku morze odbierało ludziom kolejne jego fragmenty. Kto zawierzył szkiełku i oku tłumaczył to abrazją, czyli szczególnym procesem erozji, w którym siła przypląwu rzeźbi malownicze klify. Mieszkańcy Trzęsacza opowiadali zaś, iż ich krajanie wyłowili raz pewnego wraz z rybami córkę Bałtyku, Zielenicę. Głusi na prośby o uwolnienie rybacy przewieźli dziewczynę w kadzi z morską wodą na plebanię, gdzie proboszcz postanowił ją ochrzcić. Nie mogła żyć na lądzie Zielenica. Kiedy zmarła, jako chrześcijankę pochowano ją na cmentarzu opodal kościoła. Rozgniewany Bałtyk rozkołysał swe wody i każdego dnia wdzierał się w ląd coraz głębiej by zabrać z mojej ciała swej córki.

Nie tylko Bałtyk, zwykł udowadniać, swą siłę i przypominać ludziom o cnocie pokory. Holendrów Morze Północne nauczyło również zaradności. W średniowieczu mieszkańcy Niderlandów mawiali, iż „Bóg stworzył morze, ale Holender wybrzeża”. Czwarta część ich ojczyzny położona jest poniżej poziomu morza, musieli się więc nauczyć walczyć o każdą piędź ziemi, wydzierając ją wodzie. Zamieszkujący jej północ Fryzowie czynili to budując poldery – pola, odgradzane groblami, z których wodę odprowadzano systemem kanałów. Swe domostwa sadowili na specjalnie sypanych pagórkach zwanych terpami. Poldery zaczęto tworzyć już w VII wieku, ale ich gwałtowny rozwój nastąpił w XV stuleciu wraz z wynalezieniem wiatraków. Za ich sprawą zmyślni mieszkańcy dzisiejszej Holandii zaprzęgli wiatr by ujarzmić wodę. Był czas, że blisko 10 000 skrzydlatych budowli pomagało odpompowywać wodę z polderów.

Chinampa.

Deficyt ziemi trapił swego czasu także i inny lud, żyjący w miejscu oddalonym o ponad dwieście tysięcy kilometrów od Niderlandów. Około 1325 roku na wyspie położonej na jeziorze Texcoco założono miasto Tenochtitlán, które z czasem stało się stolicą państwa Azteków. O lokalizacji miasta wedle legendy nie przesądziły względy obronne, ale religijne. Pradawna przepowiednia ludu Mexica mówiła, iż miejsce gdzie się osiedlą wyznaczy orzeł, który trzymając w dziobie węża przysiądzie na owocach opuncji.



Ów obraz miał się objawić właśnie na bagnistej wysepce pośród wód Texcoco nie pozostawiając budowniczym pola wyboru. Rozrastające się z czasem miasto musiało zderzyć się problemem braku miejsca na wyspie. Postanowiono wtedy wykorzystać znany już wówczas od dwóch wieków wynalazek – chinampa. Była to sztuczna wyspa w kształcie prostokąta, zwykle o wymiarach 30m x 2,5m, w Tenochtitlán o długości 90m i szerokości wahającej się od 5 do 10m. Tworzono ją wbijając w dno jeziora pale, które stanowiły osnowę trzciniowego ogrodzenia. Chinampa często stabilizowano sadząc na jej skrajach drzewa, najczęściej lokalne odmiany wierzby i cyprysu. Wyspy oddzielały od siebie kanały o szerokości pozwalającej na poruszanie się wśród nich na łodziach. W ten sposób sukcesywnie dostarczano na wyspy ich wypełnienie – osady z dna jeziora a przede wszystkim odpady. Chinampa była więc w istocie dużym kompostownikiem, w którym lądowały resztki jedzeniowe i pozostałości z upraw rolnych.

Zarządzając miastem zbudowanym na jeziorze, Aztekowie przykładali wiele uwagi

do gospodarowania odpadami. W Tenochtitlán stworzono rozwiązania, które dziś nazwalibyśmy systemowymi. Mianowano urzędników odpowiedzialnych za utrzymanie czystości, wprowadzono system surowych kar za składowanie odpadów czy zaśmiecanie miasta a zbiórką i segregacją odpadów zajmowali się ludzie zwani pepenilia. Zebrane szmaty palono oświetlając nocą place i ulice, ludzki mocz, który przechowywano w specjalnych ceramicznych naczyniach był przedmiotem handlu, jako środek używany do wyprawiania skór czy utrwalacz przy barwieniu tkanin, odpady organiczne kierowano do użytkowania sztucznych wysp. Za ich sprawą chinampa zwano pływającymi ogrodami, co nie powinno dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż dawały one zwykle cztery, a nawet siedem zbiorów rocznie. Kompostowniki, na których uprawiano kukurydzę, fasolę, dynie, pomidory, paprykę i amarant musiały wyżywić największe ówczesne miasto na świecie. Miasto liczące 200 000 mieszkańców.

Tochi zosei.

Zamysł by budować sztuczne wyspy jest, jak

się okazuje, żywy do dzisiaj. Szczególną popularnością cieszą się one w Azji. Najbardziej znane są Wyspy Palmowe budowane od 2001 roku na szelfie opodal Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Trzy wyspy mają kształt liści palmy otoczonych od strony Zatoki Perskiej falochronem. Stanowią one kompleks luksusowych i ekskluzywnych centrów hotelowo-mieszkalnych. Najdłuższą tradycję wydzierania morza kolejnych połączy ziemi posiada wszakże Japonia. Podobnie jak w przypadku Azteków pierwszym impulsem do takich działań była potrzeba pozyskania terenów pod uprawy. W tym celu w latach 1600-1868 osuszano tereny przybrzeżne, oprócz zasiewów ryżu lokując tam również nowe porty rybackie. Na początku XVII wieku budując miasto Edo pozyskano nowe tereny zasypując częściowo zatokę Tokijską. Wiek XX skłonił Japończyków do pozyskiwania nowych terenów pod budowę elektrowni, rafinerii oraz... spalarni śmieci i składowisk. Mając na uwadze opór społeczny związany w lokalizacji takich instalacji wyizolowanie ich na sztucznych wyspach wydaje się logiczne. Przy ich budowie wykorzystuje się zresztą odpady budowlane, często jak w przypadku Yamashita Park w Yokohamie pochodzące z pozostałości po częstych w tym obszarze trzęsieniach ziemi.

Na wyspach coraz częściej buduje się na nich biura i budynki mieszkaniowe, co nie powinno dziwić zważywszy, iż średnia gęstość zaludnienia w Kraju Kwitnącej Wiśni wynosi 335 osób/km²,

zaś w miastach współczynnik ten szybuje na poziom 1523 osób/km². Lasy i góry stanowią 67% powierzchni wysp a ich mieszkańcy należą do najbardziej długowiecznych na świecie (we wrześniu 2017 roku w Japonii żyło 67 824 stulatków).

Tochi zosei, bo tak Japończycy zwą sztuczne wyspy, to równocześnie ciekawy przykład projektów rekultywacyjnych. W 1930 roku w Zatoce Tokijskiej wybudowano wyspę, na której planowano stworzyć nowe miejskie lotnisko. Budowę lotniska przerwała wojna, ale od 1957 roku tochi zosei była miejscem składowania odpadów. Dziś miejsce nazwane Yumenoshima (Wyspa Marzeń) to dzielnica Tokio, w której znajduje się kompleks wypoczynkowo-sportowy z przystanią jachtową, tropikalny ogród botaniczny, park oraz... spalarnia odpadów. Innym ciekawym projektem zainicjowanym w 2007 roku jest Umi no mori – zamysł stworzenia leśnej enklawy na kolejnej sztucznej wyspie wykorzystywanej jako składowisko odpadów. Na terenie, na którym w latach 1973-1987 zeskładowano 12,3 miliona ton odpadów komunalnych układana jest pokrywa rekultywacyjna na bazie kompostu z odpadów zielonych oraz osadów ściekowych. Pół miliona drzew zasadzonych na 88 hektarach dawnego składowiska ma służyć oczyszczeniu miejskiego powietrza oraz jego schłodzeniu w miesiącach letnich.

**Znasz ciekawą historię?
Napisz a opublikujemy ją
na łamach EKOgadki!
redakcja @ekogadka.pl**

ANEGDOTY ADAM PRYZSTUPA

Zdarzyło się naprawdę

Jak to ze słoniem było.

Zakład Zagospodarowania Odpadów ma szczęście gościć w swych progach licznych gości. Od października 2011 roku, kiedy rozpoczęło swoją działalność Centrum Edukacyjno – Demonstracyjne chętnych do zapoznania się z technologią zbiórki i przetwarzania odpadów, którzy skierowali swe kroki na ul. Metalurgiczną liczyć można nie w setkach a w tysiącach. Od przedszkolaków przez uczniów po studentów czy samorządowców. Z siół, miast i miasteczek Lubelszczyzny a czasem z drugiego krańca kontynentu. Ba, bywa, że z drugiego krańca świata.

Oto w maju 2012 roku przy okazji odbywającej się w Lublinie konferencji naukowej zawitała na Zakład delegacja Kasetsart University z Bangkoku. Delegacji wiodącej placówki naukowej Tajlandii przewodniczyła przeurocza pani profesor Patamaporn Sripadungtham. Z uwagą słuchała wyjaśnień dyrektora zakładu skrupulatnie notując najbardziej interesujące ją kwestie w notatniku. Dyrektor zaś snuł swą opowieść z coraz większą swobodą okraszając ją anegdotami, bo nic tak nie służy gawędzie jak wdzięczny słuchacz. Do momentu aż zada trudne pytanie. Okazało się bowiem, iż panią profesor zaintrygowało logo KOM-EKO zdobiące zwiedzane obiekty. Skąd ów słoń, w kraju nad Wisłą gdzie spotkać go można jedynie w zoo? Wydawałoby się niezbity z tropu dyrektor począł improwizować przytaczając historię KOM-EKO, wspominać o małżonce pana prezesa darzącej sympatią owe pracowite zwierzęta by wreszcie sięgnął po argument ostateczny – słoń z trąbą podniesioną do góry to symbol szczęścia. Pani profesor, początkowo myślała, iż źle zrozumiała odpowiedź. Na jej twarzy malowało się zdumienie. Zamilkła by po chwili z dużym taktem odezwać się tymi słowami:

- Przepraszam, ale słoń z podniesioną trąbą nie jest symbolem szczęścia. To znak, że jest rozdrażniony i szykuje się do ataku.

Wyobrazenie dyrektora i milionów Polaków o słoniu legło w gruzach.



Na Warszawę, na Radom, na Rzeszów...

Jako się rzekło goście na Zakładzie Zagospodarowania Odpadów bywali przeróżni. Lata 2011 – 2013 przyniosły falę zainteresowanych odpadami samorządowców. Wszystko za sprawą zmian w prawie, które obdarzyły ich władztwem nad śmieciami, ale i obowiązkami, które się z tym wiążą. By zrozumieć tę tylko na pozór nieskomplikowaną materię zjeżdżali na Metalurgiczną nie tylko z całej Lubelszczyzny, ale i z okolicznych województw. Z większym lub mniejszym zainteresowaniem przemierzali stałą trasę odkrywając sekrety postępowania z odpadami, szanse i mielizny, które miały czekać po wypłynięciu na nieznane im wody. A potem odjeżdżali wymieniwszy na pożegnanie wizytówki i uściski dłoni. Czasem jednak rozstać się było nie sposób...

Tego wiosennego dnia goście z dalekich stron zwiedzili zakład zbierali już swą liczną grupę w okolicach autokaru. Powoli zajmowali miejsca w pojeździe, gdy niespodziewania okazało się,

że brakuje jednego ze zwiedzających. Jeszcze raz przeliczono wszystkich, ale wynik był ten sam. Jakiś ochotnik pobiegł sprawdzić toaletę, ale gdy powrócił z niczym zaczęto się niepokoić. Hasło rzucone w eter sprawiło, że za chwilę zagubionego gościa szukali nieustannie przemierzający Zakład swymi maszynami operatorzy ładowarek. Bez rezultatu. Wreszcie uczestnicy wycieczki przypomnieli sobie, że ich towarzysz ma przy sobie telefon i należałoby z tego skorzystać. Po kilku nieudanych próbach nawiązano wreszcie połączenie, ale sukces był połowiczny. Mężczyzna nie potrafił wskazać gdzie się znajduje. Jego głos falował w charakterystyczny sposób gubiąc sens z trudem artykułowanych słów. Było jasne, iż w niepojęty dla nikogo sposób zdążył wprowadzić się w bajkowy nastrój.

- Gdzie jesteś, słyszysz, gdzie jesteś, wszyscy tu na Ciebie czekamy – wołał w słuchawkę jego kolega

- Nie wiem...

- Skup się, słyszysz, skup się! Gdzie cię poniosło? Skup się, co widzisz?

- Sklep, sklep widzę... Nie wiem gdzie jestem...

- Spokojnie, słyszysz, wejdź do środka i się spytaj, słyszysz!

Niestety w tym momencie telefon zamilkł i mimo kolejnych prób milczał jak zaklęty. Co było robić? Z Zakładu wyruszyły dwa samochody by przeszukiwać okolicę. Bez efektu. Po pół godzinie znowu odezwał się telefon:

- Gdzie ty jesteś?

- Idę... - głos był coraz bardziej bełkotliwy

- Gdzie idziesz?

- Do Warszawy....

Tu rozmówca znów się rozłączył pozostawiając podenerwowanych i zaniepokojonych jego losem towarzyszy w osłupieniu. Samochody KOM-EKO jeszcze raz wyruszyły z Metalurgicznej by zlustrować ulicę Mełgiewską wiodącą najprostszą drogą ku stolicy. Tymczasem po upływie kwadransa zagubiony odezwał się raz jeszcze:

- Słuchaj! Zatrzymaj się w miejscu i czekaj! Zaraz ktoś po ciebie przyjedzie! Gdzie jesteś?

- Idę... na Radom...

W telefonie zaległa cisza. Nie milczała za to reszta wycieczki, która dawno winna już przemierzać drogę do domu. Złorzeczono zagubionemu, ale i wyrażano niepokój, bo krótki jeszcze wiosenny dzień najwyraźniej miał się już ku zachodowi. Kolejna rozmowa zdezorientowała poszukujących, gdy niespodziewanie usłyszeli:

- Idę na Rzeszów...

Dotąd liczone, iż skąpe informacje przesyłane przez telefon będą jakąś wskazówką w poszukiwaniach. Teraz poczęto wątpić, czy zaginiony ma jakiegokolwiek pojęcie o swym położeniu. A jednak życie jeszcze raz pokazało, jak ostrożnym należy być w swoich sądach. Kiedy po upływie kilku godzin odnaleziono delikwenta siedział zrezygnowany na poboczu budowanej obwodnicy Lublina. Kilkaset metrów od Zakładu. Nad jego głową wznosiła się tablica wskazująca kierunki – na Warszawę, na Radom, na Rzeszów...

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA BEATA GROEN



FOTO: z archiwów prywatnych

Kolorowe inspiracje

Pyszne pierogi dla małych i dużych.

Pierogi znają i lubią wszyscy, jednak niezależnie od nadzienia wyglądają zawsze tak samo. Moją propozycją są ruskie o tradycyjnym smaku, ale w barwnej odsłonie, zwiastujące zbliżającą się wiosnę.

Jedynym niebezpieczeństwem tego dania jest to, że zazwyczaj nieopatrznie zjada się większą ilość sztuk, niż w przypadku zwykłych pierogów. Jednak wykonanie oraz podanie ich do stołu to sama przyjemność.

Wykonanie ciasta (w tym przypadku trzech różnych):

1. Ciasto żółte: 30 dag maki, sól, 1 łyżeczka masła rozpuszczonego w ok 200 ml gorącej wody, 1 mała ugotowana marchewka starta na małych oczkach, 1/3 łyżeczki kurkumy.

2. Ciasto fioletowe: 30 dag maki, sól, 1 łyżeczka masła rozpuszczonego w ok 200 ml gorącej wody, 1 mały ugotowany buraczek starty na małych oczkach, 1 łyżeczka koncentratu buraczanego.

3. Ciasto zielone: 30 dag maki, sól, 1 łyżeczka masła rozpuszczonego w ok 200 ml gorącej wody, 1/2 szklanki rozmrożonego, rozdrobnionego szpinaku odcisniętego z wody.

Nadzienie:

2 kg ziemniaków,
1 kg białego półtłustego sera,
2 cebule usmażone na złoto,
sól i pieprz.

DO MOCOWANIA						PIEŚŃ		POLSKI PROZAIK	OD PONIEDZIAŁKU	
KOLEGA KURKA			9			RONI ŁZY			MA PLUS	
					DLA KLIENTÓW					
					W OKU					
PYSZNY		WŁOCHY		TWARDY						
				NA MAZURACH						
JĄ SIĘ OBCHODZI			12							
NA SZATĘ				1		8	RZEKA			3
							IMIĘ			
WNIOSEK	GŁADKI							7		PTAK
	6			KOŃSKIE DAMY						5
				NA BRZEGU				11		
				NA ULICY						
									4	
PRZEZ KRUKI									10	
						2				

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----

Pierwsze 10 osób, które prześlą nam e-mailem prawidłowe hasło ułożone z liter z ponumerowanych pól, otrzymają nagrodę.



Szanowni Państwo

Zarząd KOM-EKO S.A. składa Państwu serdeczne podziękowania za lata sumiennej i rzetelnej pracy, zaangażowanie w rozwój naszej Firmy, lojalność i uczciwość. Życzymy by nasza dalsza wspólna praca była dla Państwa źródłem satysfakcji i sukcesów.

Nasze życzenia składamy w szczególności świętującym w pierwszym kwartale 2018 roku jubileusze:

10-lecie

pracy w KOM-EKO:

Grzegorz Grądziel

15-lecie

pracy w KOM-EKO:

Zbigniew Oszust

FOTOREPORTAŻ

